Miesięcznie 1 zł. prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. **Niedziela, dnia 23 sierpnia 1936 r.** Nr. 34

Skończyła się już Olimpjada, międzynarodowy turniej najsilniejszych, najwytrwalszych i najzręczniejszych zapaśników z całej kuli ziemskiej. Miała ona nawiązać do tradycyj staro-greckich, szczególnie do idei braterstwa narodów. Na czas trwania olimpijskich igrzysk — zaprzestano w starożytnej Helladzie wszelkich sporów i walk orężnych, toczyły się natomiast walki na Stadjonie przy blaskach świętego ognia, wziętego z ołtarza Zeusa. Po wiekach podjęto tę myśl skupienia w pobliżu znicza olimpijskiego, jako symbolu pokoju przedstawicieli wszystkich narodów świata — i w tym celu przeniesiono w olbrzymim biegu sztafetowym ogień olimpijski do Berlina. Ażeby jeszcze bardziej podkreślić łączność współczesnej idei olimpijskiej z dawną — zorganizowano, obok walk olimpijskich, przedstawienia starogreckie. Scenę z jednego z nich — tańce młodych dziewcząt w starożytnych strojach greckich — przedstawia zdjęcie obok. Przedstawienie to odbyło sie na stopniach Muzeum Pergamańskiego (nazwa od starożytnego greckiego miasta Pergomon) w Berlinie.



BRESZKO - BRESZKOWSKI

7)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

— On się tylko szczycił tem, wiedząc, że to tylko podniesie mnie w oczach mojego narodu. Każdorazowo, gdy po gościnie w domu, wracałem najpierw do Petersburga, do korpusu, a potem do Warszawy do pułku, Ałmaz - Chan dawał mi zawsze tę samą naukę: „Służ cesarzowi wiarą i prawdą, oddaj życie za niego, gdy taka będzie wola Allacha, ale nigdy nie zapominaj, że jesteś Mugańczykiem i muzułmaninem!"

Często postępowałem podług tych rad. Coprawda, nie było mi sądzonem oddać życie za Cara, ale zemściłem się za krew nieszczęsnej rodziny carskiej. Czerwoni długo będą pamiętali, jak ja się rozprawiałem z ich komisarzami w stepach kubańskich, i na Dnieprze pod Kijowem, i gdzie tylko się dało...

Przy tych słowach posępny cień padł na ostre rysy Chana, a w oczach zabłysły ogniki.

Umiejętnie i nieznacznie Gafani wyciągał z Ammalata wszystko, co mogło mu się przydać w Paryżu i bez czego, dzięki jakiejś drobnostce, mógłby się wsypać.

I nazajutrz Ammalat nie pojechał do miasta.

Już się był zdecydował, już czekał samochód z szoferem w białej liberji, ale rozmyślił się w ostatniej chwili.

— Straciłem ochotę... Pozostanę... Jedź pan sam!

Gafani pojechał.

Całą drogę trząsł się ze złości. Gotów był narobić głupstw, gotów był nawet zabić Ammalata i... uciec, skrywać się. Ale, równocześnie z Ammalatem umarłaby dla niego Mar - Molli, umarłyby skarby Ałmaz - Chana, umarłby film niedokończony...

Nie! nie! to byłoby istnem warjactwem! I, zacisnąwszy zęby, powiedział sobie: „Będę jeszcze cierpliwy. Muszę wymyśleć jakiś radykalny środek, któryby, jak uderzeniem nahajki, zapędził Chana do fatalnego dlań samochodu..."

W kawiarni „Nationale" Gafani topił w koniaku swoje niepowodzenie i fatalny nastrój przy akompanjamencie trzeszczzącego jazzu, plasów girlsów na estradzie i rozmów publiczności.

Ale, jak zwykle w takich wypadkach, mocny koniak nie działał.

— Kamarero! — zawołał garsona, chcąc zapłacić i ruszyć dalej, gdzie silniejsze wrażenia zagłuszyłyby złe myśli.

Rzuciwszy zgiętemu w ukłonie kamarero suty napiwek, Gafani, odchodząc, trafił w czyjeś objęcia.

— Ammalat! Mój drogi! Ależ spotkanie!

Wysoki blondyn mocno ściskał i całował Gafaniego.

Oszołomiony niespodziewanym atakiem i rosyjską mową, Gafani, wyrwawszy się z objęć nieznajomego, zaczął mu się przyglądać badawczo.

— Kto pan taki i co pan sobie życzy odemnie?

— Więc to nie Ammalat, Chan Mugański? Bardzo przepraszam... Podobieństwo wprowadziło mnie w błąd... Przepraszam...

Myśli zaczęły błyskawicznie latać po głowie Gafaniego. On go tak łatwo nie puści, może się przydać... Robiło mu się gorąco i zimno naprzemian.

Gafani stał się odrazu miły, uprzejmy.

— To ja proszę o przebaczenie, ale byłem tak zaskoczony, aczkolwiek pan nie pierwszy myli mnie z moim przyjacielem — Chanem Mugańskim!

— Z pana przyjacielem?

— Tak!... Szczycę się przyjaźnią z tak dzielnym oficerem, jak jego wysokość. Proszę siadać, czem mogę pana poczęstować? Kamarero! Pan jest, prawdopodobnie, towarzyszem walk Chana?

— Nie tylko walk!... Razem kończyliśmy korpus paziów, razem zostaliśmy przydzieleni do grodzieńskiego pułku huzarów, razem walczyliśmy podczas wielkiej wojny i podczas domowej wojny na południu Rosji... Nazywam się Dałmatow. Rotmistrz gwardji Dałmatow.

Kamarero podał mrożony szampan.

Trącając się kieliszkami, Dałmatow zapytał:

— Ale, na Boga, gdzie jest Ammalat? Takbym chciał go uścisnąć!

Gafani podniósł palec do ust.

— Cicho, błagam pana, cicho!

— Ach, tak, rozumiem. Miejscowe pisma tak dużo się rozpisywały o nim! — obniżył głos Dałmatow.

— Pan o wszystkiem się dowie i zobaczy Chana. Jakże nieskończenie będzie szczęśliwy! — mówił Gafani — A pan jak się urządził, rotmistrzu?

— Jak się urządziłem... Ostatniemi czasy — nijak! Między niebem a ziemią. Przejadam resztę swoich pezo. A przed dwoma tygodniami miałem jeszcze niezłą posadę.

— Jaką? U kogo? Jeszcze kielich...

— Przed rokiem trafiłem do jakiegoś biura. Zagadkowy był tam szef, niewyraźnie kombinacje, wszystko podejrzane. Można było robić tylko przypuszczenia. Żaden z pracowników nie wiedział, czem handlujemy. A zresztą — co nam było do tego? Regularnie otrzymaliśmy pensję, a reszta nas nie obchodziła... Szef, niejaki Sieduch, brunet ze szramą na skroni. Czy to był ślad lichtarza, kuli czy noża — nie wiadomo, zresztą to nas też nie interesowało. Ale pewnego razu jakoś Sieduch wygadał się, poczem zwymyślałem go, strzeliłem w mordę i rozstaliśmy się...

— To bardzo ciekawe... Bardzo... Na jakiemże to tle?

— Okazało się, że to były komisarz czerwonych Węgier. Pamięta pan, równo sto dni były czerwone. Powstrzymywałem się, jak mogłem... Ale, gdy Sieduch zaczął rozkoszować się wspomnieniami rozstrzeliwań węgierskich generałów i to pod jego dowództwem — nie wytrzymałem... Zakipiała krew rosyjskiego oficera i łunąłem w pysk...

— Nie przypomina pan sobie, czy ten łotr wymieniał może nazwiska swoich ofiar?

— Zapamiętałem tylko jedno nazwisko: generał Bem - Ermoli... Co z panem... Czy pan go znał?

— Znałem, to znaczy ze słyszenia... Któż go nie znał? Pan jest najszlachetniejszym człowiekiem, rotmistrzu, zachwycony jestem pana rycerskim gestem! Niech pan powie otwarcie, jak przyjacielowi pana przyjaciela: jest pan w trudnościach materjalnych?

— Powiedziałem przecież, że jestem między niebem a ziemią.

— Proszę mi zrobić wobec tego zaszczyt i przyjąć ode mnie drobnostkę — tysiąc pezo!

— Doprawdy, to mnie krępuje...

— Niema nic krępującego: przyjaciel Chana jest moim przyjacielem. Pan chciałby, oczywiście, uściskać go, jak najprędzej...

— Będę uważał to za największe szczęście. Ammalat był zawsze wzór oficera kawalerji o wyjątkowej odwadze i dzielności.

— Kamarero! papieru, kopert itp. Rotmistrzu, pisz pan list do Chana, dziś jeszcze mu oddam.

— Dobrze, dobrze! Tak jestem wzruszony! Co mam pisać?

— Jutro o godzinie dziewiątej wieczorem czeka pan na niego w kawiarni „Nationale", i proszę dodać, tak będzie lepiej, że główny zabójca generała Bem - Ermolli znajduje się tu, w Nowej

Kartaginie i że pan może wskazać jego miejsce pobytu.

— Czy to jest potrzebne?

— Z niektórych względów — tak! Piszże pan! — z niecierpliwością dodał Gafani.

Banknot tysiąc pezowy dawał mu prawo żądania...

Niezajęte miejsce

Jak zwykle wszyscy zebrali się do śniadania w namiocie — jadalni.

Służba zmieniła już talerze do drugiego dania, a miejsce Ammałata, między Mar-Molli i Maniją-d'Or, było wciąż wolne...

Nieobecność Chana została niezauważona. To było zupełnie zrozumiałe przy większej ilości osób, siadających miesiącami dwa razy dziennie do wspólnego stołu.

Tylko dwie osoby odrazu zauważyły nieobecność Chana — to Gafani, który wiedział, że Ammałat nie przyjdzie i Mar - Molli, zaniepokojona nieobecnością drogiego człowieka.

Gafani oczu z niej nie spuszczał.

Mar - Molli nauczyła się grać nie tylko przed objektywem, lecz i w życiu, umiejętnie maskując przed ludźmi swoje uczucia.

I teraz, tylko Gafani wyczuwał pod maską niezamąconego spokoju węgierskiej piękności jej przeżycia. Wskazywało na te przeżycia lekkie drżenie palców Mar - Molli, trzymających nóż i widelec, zauważone tylko przez Gafaniego i to, że prawie nic nie jadła.

Jako kobieta, mogła domyśleć się też Manija d'Or, ale błądząc w przestrzeni szaro - zielonemi oczyma, „Wamp" zdawał się ginąć gdzieś w jemu tylko widocznych obłokach...

Delikatny i smaczny „szaszłyk" z młodego baranka miał powodzenie. Benau zajadał, aż mu się uszy trzęsły. O'Donnel był bardziej umiarkowany, ale i on pochwalił:

— Znakomity szaszłyk! Antadze przeszedł samego siebie! Za kilka dni będziemy zmuszeni przejść na ogólno - europejskie menu na transatlantyku. Ale może mi się uda przekonać dyrekcję, by zezwoliła naszemu Antadze gotować dla nas osobno.

— Benau, proszę kończyć ostatnie zdjęcia! Mojem zdaniem, zamało wykorzystaliśmy ruiny starożytnego miasta. Widziałem wspaniałe swoją monumentalnością „kawałki", których niema na naszym filmie. Trzeba się podciągnąć!

— Podciągnę się, panie dyrektorze! — obiecał reżyser, któremu oczy uśmiechały się do wciąż nowej porcji szaszłyku.

— Konieczna jest szybka zmiana wzrokowych wrażeń, czarująca przyroda i ruch, ruch bez końca! Dlatego właśnie byłoby wskazanem, przed likwidacją obozu, wykorzystać jeszcze jeden efektowny kawaleryjski numer, uprzejmie obiecany nam przez Chana Mugańskiego... — Prawda, Chanie? — zwrócił się O'Donnel do pustego miejsca i dopiero teraz zauważył nieobecność Ammałata. — Nie je śniadania? Od rana go nie widziałem. Czy niezdrów? Gafani, jesteście prawie sjamskimi braćmi z Chanem... Co się z nim stało? Gdzie on jest?

Gafani nie odrazu odpowiedział. Musiał zrobić wysiłek... prawie fizyczny... Mięśnie twarzy poruszyły się pod skórą. Wymuszony uśmiech. Biegający wzrok. Na nikogo nie spojrzał. Na Gafaniego też nikt nie patrzał. Nikt, prócz Mar-Molli... Ach, jak badawcze i pogardliwe było spojrzenie jej fijołkowych oczu...

— Sprawa, że tak powiem, przedstawia się, jak następuje: — zaczął Gafani, opanowawszy siebie, — ja, oczywiście, mógłbym nie mówić o tem wszystkiem... ale... jesteśmy tu wszyscy swoi... Jak jedna rodzina... I jesteśmy artystyczną rodziną... Chan jest wolny, jak ptak, młody, a w jego żyłach płynie gorąca, stepowa krew, nie woda...

Wstęp obiecujący. Wszyscy nastawili uszu. Nawet Benau przestał jeść. Ręka Gromenji, wyciągnięta w stronę flaszki z winem, zatrzymała się w półdrodze.

Mar - Molli siedziała jak posąg z opuszczonemi powiekami. Tylko jej nozdrza lekko drżały.

— Czy nie można bez wstępów, Gafani! — prawie krzyknął zawsze opanowany O'Donnel — odpowiadaj pan na pytanie! My sami wiemy, że Chan jest młody i że w jego żyłach płynie stepowa krew... Dalej!

— Dobrze, będę się streszczał... Wieczorem pojechaliśmy z jego wysokością do miasta... Zaszliśmy do kawiarni „Nationale", zażądaliśmy szampana. — Przy sąsiednim stoliku siedziała pikantna, elegancka blondynka, z typu „wampów," — Gafani spojrzał na Maniję d'Or, — prawdopodobnie Chan podobał się pięknej blondynce. No i zresztą, czy on może nie podobać się? Po chwili przysiadł się do niej, a jeszcze po chwili odprowadził mnie na bok i powiedział: „Proszę nie czekać na mnie, Gafani. Niech pan jedzie sam do obozu, ja wrócę, może, rano... Nie wiem..." To wszystko! Nic w tem, doprawdy, nie widzę takiego... Co nas mogą obchodzić sprawy osobiste każdego z nas... Nie jesteśmy przecież dziećmi...

To usprawiedliwienie, jakieś niepotrzebne, nie na miejscu, zamiast oczyścić atmosferę, jeszcze więcej ją zgęściło.

Wszyscy od O'Donnela do Brodzkiego włącznie rozumieli i bez Gafaniego, że samotny, ani żoną, ani kochanką nie związany Chan, mógł pozwolić sobie na spędzenie nocy z kobietą, spotkaną w kawiarni „Nationale..." Mógł...

A jednak koniec śniadania był zepsuty i przeszedł w przygnębiającem milczeniu...

Wszystkim lżej się zrobiło na duszy, gdy O'Donnel zamyślony i bez uśmiechu na twarzy, — rzadko go widziano w takim nastroju — wstał i odsunął krzesło, dając tem znak do rozejścia się.

Nikt nie zatrzymał Gafaniego i nie zapytał się o szczegóły.

On wyszedł z namiotu razem z Gromenją.

Komik długo poruszał wargami przed wypowiedzeniem czegoś.

— Tak! Hm! Przepraszam pana, Gafani, ale nie trzeba było... Poco?

— Co poco?

— Nie trzeba było tego opowiadać... Przy wszystkich... Hm... Jakoś wyszło nie na miejscu...

— Dlaczego nie na miejscu?

— Chociażby dlatego... Trzeba było oszczędzić Mar - Molli.

— Patrzcie, jaki się znalazł rycerz! Z wiązanką makaronu, zamiast miecza! Oszczędzić! Kogo? Czy to jego kochanka?

— Santa Maria! Tylko tego brakowało! Mar-Molli! Bogini! I raptem... Gafani, pan... pan...

Ale Gafani przerwał komikowi:

— Wynoś się pan do wszystkich djabłów! Stary, pijany dureń! Dureń i błazen!

U schyłku swojej karjery, biedak zmuszony był wysłuchiwać dużo przykrości, z któremi już się otrzaskał, a jednak teraz, gdy odszedł od Gafaniego, starzec wytarł łzy starą, kolorową chustką.

Gafani zajrzał do swojego namiotu i natychmiast wyszedł: nieswojo mu było...

Zupełnie inny był wygląd łóżka Chana, jego rzeczy... Wszystko inne...

Niby jakieś duchy się zaczaiły. Duchy Gafaniemu wrogie... A przecież tutaj spędzi noc, i nie ostatnią... Wszystkie noce, aż do wyjazdu. Tylko on jeden, wie, że Ammałat już nigdy nie wróci... Inni będą go oczekiwali z minuty na minutę...

Nigdy nie wróci...

W tym celu zrobiono wszystko. Wszystko ukartowano...

Wczoraj Gafani przyjechał z miasta do obozu o wpół do dziesiątej wieczorem, podniecony, palony zniecierpliwieniem:

Ciąg dalszy w następnym numerze.

MARJAN BRONISŁAWSKI

33)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

W domu Gerbera panował tymczasem zupełny spokój. Domownicy wielkiego butlegiera i opłacani przez niego rewolwerowicze wiedzieli, że szef ich lubi wysypiać się do późnej pory i nikomu nawet na myśl przyjść nie mogło, by władca ich, naczelnik potężnej szajki, przed którego imieniem trzęśli się najwytrawniejsi złoczyńcy, leżał w swej własnej sypialni z roztrzaskaną czaszką.

Gdy nadeszła pora śniadania, nikt nie pomyślał o budzeniu szefa, nikt zresztą nie byłby się odważył wejść do sypialni bez wyraźnego polecenia herszta. Dlatego też aż do południa policja wcale nie wiedziała o zamordowaniu Gerbera.

Nieobecność Bena Potera w knajpie także nikogo nie zdziwiła. Zdarzało się nieraz, że „Kid" zapijał się do tego stopnia, że przez kilkanaście godzin leżał nieprzytomny czy to w swojem mieszkaniu, czy gdzieś w obskurnym szynku pod stołem. Wprawdzie współlokator Potera przyszedł rano do knajpy i powiedział, że ktoś wypił mu w nocy wódkę i zabrał kokainę, ale to nie mogło nikogo naprowadzić na myśl, że Kid oszalał i zamordował samego Gerbera.

Jedno tylko wiedziała policja, a mianowicie, że nad ranem znikł z biura zajezdni samochodowej nocny urzędnik, zabrawszy jedną maszynę. Dochodzenie, przeprowadzone na miejscu, wykazało, że drut telefoniczny w zajezdni został przecięty.

* * *

Ujechawszy kilkanaście mil główną drogą, Ben Poter skręcił w bok i jadąc bocznemi dróżkami przez zarośla, dostał się w pobliże „Rajskiego kącika". W odległości około pół mili od karczmy Hardena wjechał maszyną w krzaki i wysiadł z samochodu. Pomimo szaleństwa, jakie go ogarnęło, czynności jego były obliczone i systematyczne. Nie kierował niemi rozum, tylko tajemniczy instynkt, nierzadko pojawiający się u warjatów. Często zdarzają się wypadki, że ludzie, uznani za zupełnie zwarjowanych, przebywający w zakładach dla obłąkanych, potrafią z dziwną jasnością umysłu układać spiski, oszukiwać podstępnie dozorców i uciekać z pod czujnej warty.

Coś podobnego działo się z Poterem. Człowiek ten rzeczywiście był obłąkany, ale obłąkanie jego polegało na postanowieniu zamordowania Gerbera i Hardena i każda jego czynność, prowadząca do tego celu była obrachowana i przewidziana, jak przez człowieka umysłowo zdrowego. Przyczyniała się do tego w znacznej mierze kokaina, której już kilka strzykawek zaaplikował sobie w ostatnich paru godzinach.

Wysiadłszy z samochodu, czas jakiś przedzierał się przez krzaki, idąc prosto ku zabudowaniom „Rajskiego kącika". Nie zważał, że ostre, ciernistegałęzie kaleczą mu twarz i ręce. Szedł uparcie, potykając się na nierównych miejscach, przewracając i podnosząc, wiedziony instynktem i nieprzepartą chęcią zabicia Hardena.

Karol Winters nie spodziewał się, że wzmianką o wpływach i potędze Hardena, doprowadził mordercę swego brata do szaleństwa i uczynił go narzędziem karzącej sprawiedliwości.

Po półgodzinnem przedzieraniu się przez zarośla, Poter znalazł się na brzegu ornego pola, poza którem widniała jak na dłoni rezydencja Hardena. Gdyby zmysły jego działały prawidłowo, musiałby przyjść do przekonania, że nie znając ani rozkładu domu, ani zwyczajów Hardena, nie będzie mógł dotrzeć do niego i dokonać zamierzonego morderstwa. Ale myśl taka nie postała w mózgu szaleńca. Wiedział tylko, że postanowił zabić i szedł wykonać postanowienie.

Stanąwszy na tyłach domu, obrzucił okiem zabudowanie. Domyślając się, że łatwiej będzie dostać się do wnętrza domu od tylnej części, pod okno znajdujące się w tylnej ścianie i zajrzał przez szybę. Była to pralnia.

— Dużym scyzorykiem powyłupywał dookoła szyby kit, poodginał sztyfciki i w przeciągu kilku minut wyjął szybę. Przez powstały otwór wszedł do pralni i stamtąd wyszedł na korytarz. Po obu stronach korytarza znajdowały się drzwi.

Cicho, bezszelestnie, przysunął się do pierwszych i przyłożył ucho do dziurki od klucza. Dosłyszawszy lekki odgłos chrapania, cofnął się i powtórzył podobną czynność przy następnych i dalszych drzwiach. Przekonawszy się, że za każdemi drzwiami po tej stronie korytarza były pokoje, a w nich śpiący ludzie, przeszedł do przeciwległych drzwi, nie zaopatrzonych zamkiem, jak wszystkie inne.

Domyślając się, że drzwi te prowadzą na schody, obrócił lekko klamkę i drzwi popchnął. Oczom jego ukazały się schody, wysłane chodnikiem.

— Na dole śpią jego ludzie — pomyślał — on sam z pewnością ma na górze sypialnię.

Usiadł na schodach, ostrożnie zdjął trzewiki, postawił je na stopniu i dalej szedł już w skarpetkach, stąpając lekko, by nie wywołać trzeszczenia drewnianych schodów.

Stanąwszy na piętrze, ujął pierwsze drzwi za klamkę i przekonał się, że nie były zamknięte. Uchylił je cokolwiek i wszedł do pokoju. Na wielkiem, szerokiem łóżku leżała pogrążona w głębokim śnie postać Grety Harden. Poter widywał ją dawniej i odrazu poznał.

— Aha — mruknął. — Małżonka śpi sama. Widocznie Harden ma osobną sypialnię. Trzeba szukać dalej.

Cofając się na korytarz, trącił nogą krzesło stojące przy drzwiach i stanął jak wryty. Stuk przewracającego się mebla zbudził Hardenową.

— Kto to? — spytała, zrywając się z łóżka.

— Swój, swój... — odpowiedział, podnosząc pistolet. — Ani pary z ust! Widzisz to?



W olimpijskich zawodach szermierczych pań zdobyły pierwsze miejsca: Niemka (w środku) oraz Austrjaczka i Węgierka (po bokach).

— Kto jesteś? — wybełkotała przerażona pani „Rajskiego kącika".

Poter przystąpił do łóżka.

— Stary znajomy, pani Harden. Dawno już pani nie widziałem — ciągnął, szczerząc zęby w okropnym uśmiechu. — Przyszedłem do męża pani z wizytą... Tylko proszę trzymać obydwie ręce na kołdrze, bo źle będzie — dodał, widząc, że ręka Hardenowej skrada się ku umieszczonemu w ścianie guziczkowi dzwonka elektrycznego. — To na nic się nie zda, a panią narazi tylko na kulkę z tej zabawki...

Przerażona kobieta opadła na posłanie.

— Gdzie jest sypialnia męża pani? — spytał, patrząc jej w oczy.

— Na końcu korytarza, po drugiej stronie — odrzekła, drżąc ze strachu.

Przyszło mu na myśl, że sypialnia Hardena może być zamknięta.

— Tak? — mówił dalej. — To dobrze. Niechże pani idzie przede mną i otworzy drzwi do tej sypialni. Proszę się nie żenować i robić co każę...

— Ależ mąż zamyka się na noc w sypialni, jakże mogę ją otworzyć?

— Nic łatwiejszego. Zapuka pani, a gdy mąż się zbudzi, poprosi pani, by sam otworzył. Przypuszczam, że nie będzie tak niegrzeczny, by własnej żony nie chciał wpuścić do sypialni. Skoro usłyszy pani głos, napewno otworzy. Proszę iść i nie robić żadnych głupstw, bo szkoda by było, żeby taka przystojna kobieta miała podziurawioną skórę na głowie.

Drżąc na całem ciele, Hardenowa wyszła z łóżka i postąpiła według rozkazu Potera. Czując przystawioną do boku zimną lufę pistoletu, nie myślała nawet o oporze. Podeszła pod drzwi sypialni Hardena i zapukała kilkakrotnie.

— Czego tam? — ozwał się zaspany głos pana domu.

— To ja, Mike... Greta. Otwórz.

— Zwarjowałaś? Czego chcesz o tej porze? Toż dopiero rozwidniło się... — mówił gniewnie Harden, nie spiesząc się z otwieraniem drzwi.

Poter mocniej przycisnął lufę pistoletu.

— Mów, że masz bardzo ważny interes — szepnął, pochylając się do jej ucha. — Zresztą rób co chcesz, byle tylko otworzył... Inaczej zginiesz na miejscu!

— Otwórz, Mike... chcę ci coś bardzo ważnego powiedzieć — mówiła Hardenowa zbielałemi wargami.

— Powiesz mi w dzień, jak wstanę...

— Nie, nie. Może być zapóźno... Otwórz!

Z sypialni dał się słyszeć odgłos wstawania i ciężkie kroki Hardena.

Po chwili odgłos odsuwanego zatrzaska zwiastował, że drzwi zostały otwarte.

— Wejdź — szepnął popychając Hardenową. W oczach jego migotały płomienie nienawiści i szaleństwa. Hardenowa weszła do sypialni, a tuż za nią wsunął się Poter i ukazując przerażonemu gospodarzowi pistolet, jedną ręką zamknął drzwi za sobą.

— Co to ma znaczyć? — wyjąkał Harden.

— Nic, panie Harden. Tyle tylko, że przyszedłem porachować się z panem. Dziś zapłacisz mi za to, że razem z tamtym złodziejem oszukaliście mnie. Ty wiesz o co chodzi... pamiętasz Wintersa i jego kamienie...

— Kid... zwarjowałeś? — przemówił Harden, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia. — Czy wiesz, że na pierwsze moje zawołanie, na pociśnięcie guzika, moi chłopcy rzucą się na ciebie i rozszarpią cię na strzępy?

— Dobrze, dobrze... — mówił coraz szybciej oPter. — Tymczasem trzymaj ręce do góry i nie rusz się, bo widzisz, że mam cię w ręku.

Trupia bladość zalała twarz Hardena. W obłąkanych oczach Bena widział śmierć.

— Myśleliście, że Ben Poter to pies, któremu kość tylko wystarczy rzucić wtedy, gdy wy zagarnęliście dziesiątki tysięcy... Myśleliście, że w razie wykrycia, ja odpokutuję za was na krześle elektrycznem, bo wy macie pieniądze i jesteście królami butlegierów, co?

Słowa jego zmieniały się stopniowo w obłąkańczy charchot, piana wystąpiła na wykrzywione wściekłością usta.

— Tamten dostał już za swoje — charczał Poter — teraz kolej na ciebie...

— Ben... Ben... — rozległ się drżący, błagalny głos Hardena. — Nie zabijaj... bierz wszystko, co mam, tylko...

— Krzesło elektryczne! Ha, ha, ha! Masz przyjaciela prokuratora... Chciałeś widzieć, jak mnie będą tracić... Ha, ha, ha!

Podniósł rękę z pistoletem do wysokości głowy Hardena.

— Zdychaj, ścierwo! — zasyczał i nacisnął cyngiel.

Rozległ się ostry huk kilku strzałów. Harden zatrzepotał rękami, zachwiał się i zwalił się martwy na dywan sypialni. Greta padła zemdlona na ciało męża.

Poter dwa razy jeszcze strzelił w głowę Hardena, kopnął nogą trupa i wybiegł z sypialni na korytarz. Olbrzymia jego postać drgała okropnym śmiechem furjata.

— Ha, ha, ha! — ryczał głosem rozjuszonego zwierzęcia, idąc ku schodom. — Skończone rachunki, ha, ha, ha!

Na schodach rozległ się tupot nóg biegnącego człowieka i w sekundę potem przed zaszłemi krwią oczyma Potera ukazał się Louis Killer, który na odgłos strzałów zbudził się i z rewolwerem w ręku biegł zobaczyć, co się stało.

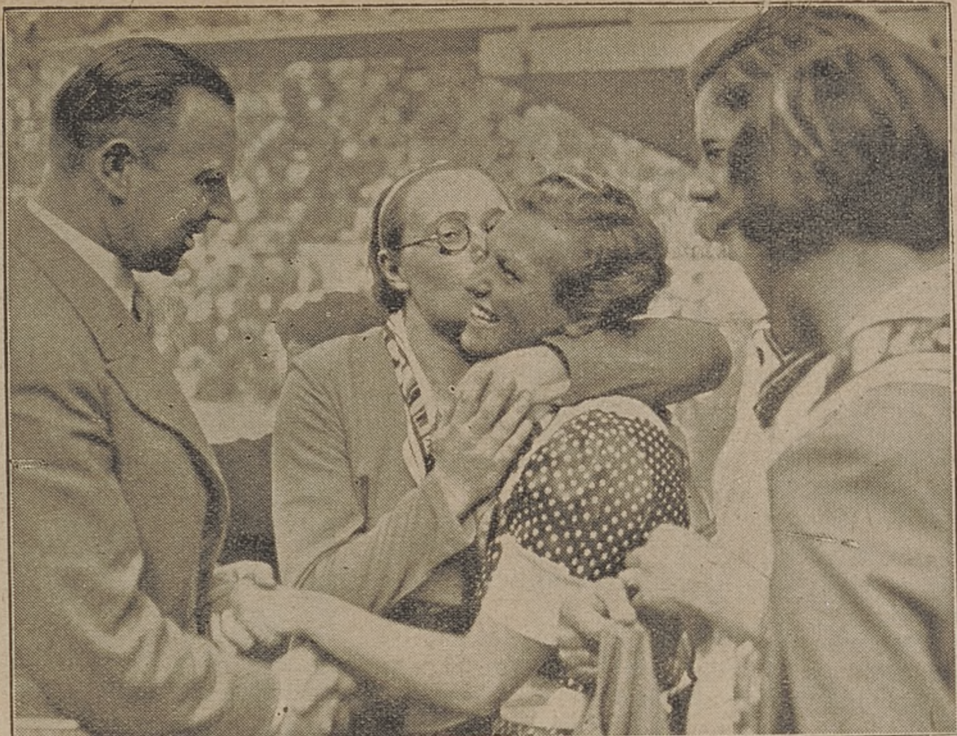
— Jeszcze jeden! Jeszcze jeden! — zaryczał Poter i śmiejąc się okropnie, strzelać do Killera. Dwa razy zagrzmiał pistolet w ręku szaleńca. Obydwie kulki trafiły w pierś Killera i adjutant Hardena, osunął się bezwładnie na podłogę.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Poter i ponownie nacisnął cyngiel broni. W pistolecie rozległ się tylko głuchy trzask spadającej sprężyny — wszystkie naboje były wystrzelone.

Poter pochylił się, podniósł wgórę rękę z pistoletem i chciał spuścić broń na głowę Killera, gdy ten ostatkiem sił podniósł rewolwer i strzelił, nie celując wcale. Kula ugrzęzła w szyi Potera... Uzbrojona w pistolet ręka opadła, wypuszczającnarzędzie mordu i Poter zwalił się na schody. Ciężkie jego ciało z łoskotem stoczyło się nadół, znacząc krwawemi śladami każdy stopień schodów.

Huk strzałów i ryki Potera zbudziły wszystkich mieszkańców „Rajskiego kącika". Powypadali z pokoików przerażeni rewolwerowicze, rozległy się histeryczne krzyki dziewcząt. Z izby portjera wypadł olbrzymi Sam z siekierą i biegł ku schodom, prowadzącym na górę, gdzie mieściły się sypialnie Hardena, jego żony oraz gabinet szefa.

Za nim szła w trwodze i popłochu gromadka kelnerek i opryszków, którzy będąc na żołdzie Hardena, mieszkali stale w „Rajskim kąciku".



Węgier Csik w biegu pływackim na 100 m. stylem dowolnym zajął pierwsze miejsce i zdobył złoty medal. Zwycięstwo Csika wywołało wielką radość wśród Węgrów. Na ilustracji widzimy żonę Csika, którą obcałowywują koleżanki.

Na widok leżącego we krwi Bena Potera, wszyscy łatwo zrozumieli, co się stało, i stali bezradnie, nie wiedząc, co robić, gdy z góry dał się słyszeć przeraźliwy głos Hardenowej, wołającej o pomoc. Za chwilę sama pani domu ukazała się na schodach w szlafroku niedbale narzuconym na bieliznę, z twarzą bladą, jak u trupa; i rozszerzonemi ze strachu oczami.

W niewielu bezładnych słowach opowiedziała, że mąż jej i Louis Killer padli ofiarami kul mordercy, który pod grozą śmierci zmusił ją do wskazania, gdzie Harden spał, i do nakłonienia męża, że otworzył drzwi sypialni.

Nieopisany popłoch zapanował wśród wszystkich. Jasną było rzeczą, że należy zawiadomić policję czy szeryfa o podwójnem morderstwie, ale żadne z mieszkańców lub mieszkanek „Rajskiego kącika" nie chciało wchodzić władzom w oczy, gdy pan ich i opiekun nie żył. Wszyscy zrozumieli, że z chwilą śmierci Hardena skończyły się jego wpływy u władz, i że teraz łatwo może nadejść chwila, gdy trzeba będzie odpowiedzieć za niejedno przestępstwo, popełnione w interesie króla butlegierów.

Rozpierzchli się tedy po swych izdebkach, by poubierać się, spakować nieliczne manatki i jak najprędzej umknąć z miejsca krwawej tragedji.

Po kilkunastu minutach w „Rajskim kąciku" pozostała tylko Hardenowa, murzyn Sam i stara posługaczka, która napół głucha i zatrudniona tylko w kuchni, nie potrzebowała obawiać się policji.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, Hardenowa zatelefonowała do biura szeryfa i zawiadomiła o wszystkiem.

W niespełna godzinę przyjechał na miejsce szeryf w towarzystwie lekarza powiatowego i kilku urzędników z prokuratorem okręgowym na czele.

Zanim przystąpiono do badania Hardenowej, jako jedynego świadka strzelaniny, lekarz obejrzał Potera i oznajmił, że jeszcze żyje. Kula Killera przeszyła mu szyję i spowodowała ogromny upływ krwi, ranny jednak miał przed sobą kilkanaście minut życia. U Hardena i Killera lekarz skonstatował śmierć.

Wniesiono Potera do jednego z pokoików i lekarz przystąpił do opatrzenia rany. Po kilku minutach usta rannego rozchyliły się i podniosły się powieki oczu. Lekarz wlał mu do ust cokolwiek koniaku. W zamglonnych oczach pojawił się słaby blask życia.

Dokoła łóżka stał szeryf, prokurator i reszta urzędników.

Poter kilka razy podniósł i opuścił powieki.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał prokurator, pochylając się nad nim. — Czy możesz odpowiadać?

— Tak... Chcę wszystko powiedzieć — odparł ledwo dosłyszalnym szeptem i spojrzał na obecnych. W spojrzeniu tem nie było piętna szaleństwa.

Mózg mordercy działał normalnie. Wybuchł furji, strzał Killera i świadomość zbliżającej się śmierci sprawiły przełom. Ben Poter nie był w tej chwili człowiekiem umysłowo zdrowym.

— Wiem, że za chwilę umrę — szeptał. — Piszcie, co powiem... Nie chcę brać tajemnicy do grobu.

Prokurator skinął na jednego z urzędników. Wezwany zbliżył się z ołówkiem i notesem w ręku.

— Dziś rano zabiłem trzech ludzi... — szeptał Poter. — Pierwszym z nich był Gerber, do którego szajki należałem. Potem przyjechałem tu i zastrzeliłem Hardena. Nie miałem zamiaru zabijać Killera, ale wszedł mi w drogę...

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Razem z Gerberem za namową Hardena napadłem na Piotra Wintersa; gdzieś niedaleko od tego miejsca. Winters poznał Gerbera... trzeba było uciszyć, żeby nie dostać się do więzienia za napad i rabunek... Ciosami rewolweru rozstrzaskałem głowę Wintersowi, jak dziś rozbiłem czaszkę Gerbera... Zabraliśmy wtedy zamordowanemu drogie kamienie ogromnej wartości... Gerber oddał Hardenowi...

Głos Potera był coraz słabszy, coraz niewyraźniejszy. Widać było, że konający dobywa ostatnich sił, by dalej mówić.

— Harden sprzedał kamienie i podzielił się z Gerberem. Mnie dali tylko tysiąc dolarów. Obydwaj porobili się bogaczami, a ja byłem nędzarzem... Wczoraj jakiś człowiek spotkał mnie w szynku Gerbera — on wiedział wszystko — i powiedział, że gdyby policja wykryła sprawców zamordowania Wintersa, oni przez swoje wpływy i majątek potrafiliby wykręcić się od kary, a ja zostałbym stracony na krześle elektrycznem... Postanowiłem zemścić się i zemsty dokonałem... A Killer... choć sam zginął... stał się narzędziem śmierci dla mnie... Czuję... że śmierć się zbliża...

Wargi jego poruszyły się kilka razy, ale szeptu nie było już słychać. Głowa opadła, powieki przysłoniły oczy.



Na berlińskim pomniku, poświęconym bohaterom wojny światowej, złożył wieniec oddział szwajcarskich doboszów, których przywieziono do Berlina razem z trupą taneczną, mającą zademonstrować na głównym stadjonie szwajcarskie tańce narodowe w ramach imprezy „Tańce Narodów".

Ben Poter wydał ostatnie tchnienie.

*

„Ekstra! Ekstra! Ekstra!" rozlegały się po ulicach New Yorku krzyki roznosicieli gazet „Krwawy koniec wojny butlegierów!"

Publiczność chciwie rozchwytywała wilgotne jeszcze płachty dzienników, donoszące o zamordowaniu Hardena, Gerbera i Killera.

Potentaci podziemnego świata giną z rąk mordercy-szaleńca!!!

Tajemnica zamordowania Piotra Wintersa wyjaśniona!

Ben Poter „Kid" składa zeznania przed śmiercią.

Pod takiemi nagłówkami rozpisały się szeroko popołudniowe wydania pism metropolji o śmierci tych czterech ludzi, z których dwaj, stojąc na czele wrogich sobie obozów odgrywali dominujące role w ciemnych interesach podziemnego świata przestępstwa i zbrodni.

* *

*

Wieść o krwawym szale Potera i złożonych przez niego przedśmiertnych zeznaniach z szybkością błyskawicy obiegła całe miasto i po drutach telegraficznych rozniosła się po wszystkich zakątkach kraju. Jednym z pierwszych, którzy posłyszeli o krwawej tragedji, był stary sierżant policji, Sogan.

Upewniwszy się, że Poter w rzeczywistości zabił Hardena, Gerbera i Killera, zatelefonował do Stefana Lubicza i podzielił się z nim wiadomością.

— Obeszło się bez mojej pomocy — mówił, skończywszy opowiadanie o przebiegu tragedji, — śmierć Piotra Wintersa została pomszczona przez jednego z tych, którzy byli mordercami. Nazwisko twoje, Stefek, jest wolne od wszelkiego podejrzenia, świat pozbył się czterech niebezpiecznych zbrodniarzy. Powiedzże ojcu, a wieczorem czekajcie na mnie w domu Burskiego, dokąd przyjdę opowiedzieć wam szczegółowo o wszystkim.

Temi słowami zakończył rozmowę przez telefon.

Wznowiona przez prasę sprawa zamordowania Piotra Wintersa przywiodła na pamięć publiczną nazwisko Stefana Lubicza. Przypomniano sobie, że w pierwszej chwili ciążyło na nim silne podejrzenie, że to on zamordował Wintersa i tylko dla braku pewnych dowodów, sąd przysięgłych uwolnił go od winy i kary. Posypały się stosy listów gratulacyjnych. Telefon w biurze Stefana dźwięczał bezustannie, reporterzy wszystkich pism oblegali go na każdym kroku. Przed domem Burskiego musiano postawić posterunek policyjny, by bronił wstępu gromadom fotografów i reporterów, którzy zbierali najdrobniejsze szczegóły o przeszłem życiu Stefana, Haneczki i starego Burskiego.

Na drugi dzień po ogłoszeniu zeznań Potera, przed dom Stefana zajechała wspaniała limuzyna miljonowego przemysłowca Steele'go i miljoner wraz z synem weszli do mieszkania, by osobiście powinszować Stefanowi oczyszczenia nazwiska i zaproponować mu intratne i stałe stanowisko w swoich olbrzymich zakładach przemysłowych.

W miesiąc później odbył się cichy ślub Haneczki Burskiej ze Stefanem Lubiczem, a wprost ze ślubu młoda para w towarzystwie matki Stefana i Burskiego podążyła do portu, gdzie stał gotowy do odjazdu parowiec transatlantycki, na którym były zamówione cztery miejsca do Gdyni. Państwo młodzi bowiem postanowili, że miodowe miesiące spędzą na ziemi ojców, a że starzy nie mieli sił puścić ich samych, jechali razem.

W porcie pożegnał ich rubasznie sierżant Sogan, któremu w ostatniej chwili dziwnie jakoś zadrgały usta i oczy przysłoniła wilgotna mgła.

Karol Winters pozostał w New Yorku, jako spólnik składu ubrań, otworzonego za pieniądze Burskiego.

O Grecie Harden słuch zaginął. Wkrótce po śmierci męża sprzedała „Rajski kącik", podniosła pozostałą po Hardenie pieniądze i wyjechała, nie zostawiając śladu ani adresu.

KONIEC.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 102

„Podaj mi rękę“, prosił Kazimierz, „ten obłąkany wskazał nam jedyną drogę ratunku. Chodźmy za jego przykładem.“

„Dobrze, mój synu. Patrz, chmury znikają, a tam na zachodzie widać jeszcze srebrzystą kulę księżyca. To ostatnie światło, które widzimy na tej ziemi.

Kazimierz i Zygmunt zbliżali się do rynny. Po chwili stanęli na końcu dachu i zobaczyli na bruku ciemne ciało, leżące w kałuży krwi.

„Zazdroszczę mu“, szepnął Zygmunt, „biedak przecierpiał i śpi spokojnie. Za chwilę połączymy się z naszym towarzyszem. Kazimierzu, podaj mi twoje ręce a potem skoczymy razem — w dół.“

Kazimierz przytulił się do swojego przyjaciela i przymknął oczy.

„Zygmuncie, dlaczego się ociągasz, — brak ci sił do tego kroku?“ zapytał Kazimierz po długiej, strasznej chwili milczenia.

„O nie“, odparł hrabia. „Lecz nagle posłyszałem dziwny szum i zauważyłem zjawisko, jakby —“

Kazimierz otwarł oczy; z jego ust wydobył się okrzyk zdumienia.

„Zygmuncie, ponad naszemi głowami wznosi się balon.“

„Balon? — Niemożebne! Lecz tak, masz rację. — Widzę łódkę. O, gdybyśmy tam siedzieli!“

„Może nam się uda zwrócić uwagę tych ludzi“, odparł Kazimierz. „Wołajmy.“

Obydwaj mężczyźni zaczęli krzyczeć i wołać z całych sił.

„Nadchodzi pomoc“, zawołał nagle Zygmunt, „Kazimierzu, chwyć się za łódkę, gdy balon zawiśnie nad dachem. Nie mamy nic do stracenia, — dalej, — teraz zbliża się stanowcza chwila.“

Napowietrzni żeglarze widzieli z zaniepokojeniem, że balon każdej chwili zawadzi o dach. Nie mogli jednak temu przeszkodzić, gdyż wiatr pędził balon w kierunku dachu.

Nagle z łódki wyłoniła się jakaś postać.

„Zlitujcie się“, zawołał Zygmunt; „dajcie nam pomoc!“

W tej samej sekundzie łódka balonu zawadziła o rynnę.

„Chwytaj za łódkę i trzymaj się silnie“, zawołał Zygmunt.

Obydwaj przyjaciele chwycili się za brzeg łódki i silnym zamachem ciała wpadli do środka.

Równocześnie na drugiem piętrze otwarło się okno, a o uszy biednych ofiar obił się wściekły głos:

„Szubrawcy uciekli, — ktoś ich uprowadził balonem.“

Lecz doktor Morizano zauważył zapóźno ucieczkę swoich więźniów. Balon, podrzucony pomyślnym wiatrem, pobiegł dalej.

„Uciekli!“ krzyczał Morizano. „Poznałem ich po głosie. Alfredzie, jesteśmy zgubieni!“

Rudowłosy bandyta wyjął szybko z kieszeni rewolwer i wystrzelił pięć razy.

Szczęśliwym trafem kule nie trafiły balonu. Morizano i Alfred Robber spoglądali z wściekłością na balon, który im po chwili zginął z oczu w stronie morza.

CLXXXI.

W Londynie

Anielcia przybyła szczęśliwie do Londynu i zamieszkała w prywatnem mieszkaniu przy Cromwellavenue u pani Barcley.

Całemi dniami chodziła po ulicach, spodziewając się, że może spotka gdzieś Kazimierza.

Jednego dnia, nazajutrz po szczęśliwej ucieczce Zygmunta i hrabiego Zamskiego, zbliżyła się przypadkowo do tak zwanego „zamku szczurów“, i zauważyła z przestrachem, że dokoła nie było ani jednej żywej duszy.

Właśnie chciała się obrócić, gdy nagle zbaczyła skrwawione zwłoooki mężczyzny.

Odważna dziewczyna zbliżyła się śmiało do nieszczęśliwego człowieka i przekonała się, że tutaj ludzka pomoc na nic się nie przyda.

Anielcia chciała zadzwonić w pobliskim domu, gdy wtem wpadł jej w oczy jakiś błyszczący przedmiot.

„Zegarek“, zawołała, „złoty zegarek wysadzany brylantami. Boże, — zdaje mi się, żem już widziała gdzieś ten zegarek!“

Mimowoli przycisnęła sprężynę i w tej samej chwili wpadła jej do ręki biała kartka.

„Kazimierz, hrabia Kazimierz Zamski napisał tę kartkę.“

Och, teraz dowiedziała się, gdzie się znajdował jej ukochany. — Dziękowała Bogu, że ją sprowadził na to miejsce.

Skierowała swe kroki ku miastu i pierwszej dorożce kazała się zawieść do hotelu Royal.

W pół godziny później przed hotelem Royal zatrzymał się powóz, z którego wysiadła Anielcia.

W westybulu spotkała sekretarza hotelu i poprosiła go, by jej wskazał pokój Elizy Rodeń.

„Pani się myli. W liście hotelowej nie widzę takiego nazwiska!“ odparł sekretarz, przeglądając spis gości.

„To niemożebne. Ta dama musi być w tym hotelu“.

Sekretarz przeglądnął jeszcze raz spis osób, wzruszył ramionami i odparł stanowczo:

„Nie, taka dama nie mieszka w naszym hotelu“.

Anielcia podziękowała sekretarzowi za grzeczność i zwróciła się ku wyjściu. We drzwiach spotkała elegancko ubranego młodzieńca, który właśnie pytał portjera, czy nie nadeszły jakie listy od hrabiego Kazimierza Zamskiego.

Anielcia, posłyszawszy to nazwisko, zdołała tylko z trudem stłumić okrzyk zdumienia.



Szwajcar Mack wysunął się w olimpijskich ćwiczeniach gimnastycznych na jedno z czołowych miejsc. Na zdjęciu widzimy zawodnika podczas ćwiczeń.

Nagle powstała w jej głowie dziwna myśl.

„Ah, jeżeli się nie mylę, to pan jesteś sekretarzem pana hrabiego?“ zapytał portjer; „dotychczas nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości!“

„Dziękuję panu“, rzekł młodzieniec i wszedł do westybulu.

Anielcia szła za nim. Na pierwszem piętrze zbliżyła się do nieznajomego młodzieńca i rzekła cicho:

„Panno Rodeń, muszę pomówić z panią!“

„Boże, pani mię zna?“ zawołała zdumiona Elżutka.

„Tak jest!“ odparła Anielcia. „Chodźmy do pokoju, gdzie wyjawię cel mojej wizyty“.

Po chwili obydwie dziewczyny znalazły się w skromnie umeblowanym pokoju.

„Nie znam pani“ rzekła Elżutka, obrzucając nieznajomą bystrem spojrzeniem. „Lecz zdaje mi się, żem już widziała gdzieś podobne rysy. Boże, — pani jesteś —“.

„Anielcia Dubois“, odparła nieznajoma, „i narzeczoną hrabiego Kazimierza Zamskiego“.

„Anielcia Dubois?“ zawołała Elżutka łzawym głosem, „moje dziecko, to nie twoje nazwisko, — jesteś hrabianką Sokolską!“

Anielcia wydała głuchy okrzyk i skrzyżowała ręce na piersi.

„Tak, poznaję w tobie jego szlachetne rysy, — — tobie należy się szczęście i miłość najlepszego ojca na ziemi. — — Jesteś dzieckiem Almy, biednej obłąkanej. — Jeden wzrok rzucony na twoje oblicze jest najlepszym dowodem. Och, Anielciu, nie brakowałoby nam nic do szczęścia, gdyby losy nie były nam zrabowały najdroższych osób“!

Anielcia, oszołomiona temi słowami, upadła bezwładnie na krzesełko.

„Więc jestem córką tego szlachetnego człowieka, — którego poznałam w Pa-

tyżu? — Boże, czyżby przedemną otwarła się rzeczywiście nowa przyszłość? Kiedy zobaczę mojego ojca? Oh, panno Roden, proszę mi powiedzieć, gdzie mogę zobaczyć i ucałować mojego ojca?"

„Ach, gdybym to wiedziała! Niestety hrabia Zygmunt zginął w tajemniczy sposób. Nikt nie wie, gdzie się podział!"

„Więc i on!" zawołała Anielcia drżącym głosem.

„Miejmy nadzieję" odparła Elżutka Roden, „że nas Bóg nie opuści!"

„Tak, masz słuszność, Bóg to nasza jedyna nadzieja. Muszę ci jednak powiedzieć, że znalazłam ślad Kazimierza. Elżutko, znasz ten zegarek?"

Szybkim ruchem wyjęła znaleziony zegarek i pokazała go pannie Roden.

„Ten zegarek widziałam przed dwoma dniami u Kazimierza", zawołała młoda dziewczyna.

„Zalazłam go nad brzegiem Tamizy. Lecz na tem nie koniec. Przeczytaj tę kartkę. — Elżutko, nie traćmy czasu, Kazimierz żąda od nas pomocy"!

Eliza Roden przeczytała prędko ową kartkę i zawołała po chwili wzruszonym głosem:

„Teraz wiemy przynajmniej, gdzie znajdziemy Kazimierza. Chodźmy na policję. Wreszcie nadszedł koniec dla doktora Morizano. Lecz w tem przebraniu nie mogę iść z tobą do policji. Daj mi prędko jaką radę. Później opowiem ci wszystko!"

„Zapłać rachunek!" odparła Anielcia. „W mojem mieszkaniu wdziejesz suknię, a potem pojedziemy prosto do biura policyjnego".

„Wyśmienicie! Ten dzień jest jednym z najpiękniejszych w mojem życiu!"

Elżutka załatwiła rachunek i w pół godziny później obydwie przyjaciółki zdążały do mieszkania Anielci.

Panna Roden przebrała się tam w kobiece suknie, poczem wsiadły do powozu i kazały się zawieść do szefa londyńskiej policji.

CLXXXII.

Próżne gniazdo.

Przed Elżutką i Anielcią otwarły się drzwi, prowadzące do kancelarji wszechwładnego dyrektora.

Szef londyńskiej policji, — wyglądający na pięćdziesiątletniego mężczyznę, wskazał ręką na fotele i zapytał o cel wizyty.

„Przychodzimy w jednej sprawie", rzekła Elżutka, „która pana z pewnością przestraszy".

„Oh, proszę pani", odparł wesoło dyrektor, „jestem na wszystko przygotowany. Co się stało?"

„Przed dwoma dniami", odparła panna Roden, — „przyjechałam do Londynu w towarzystwie hrabiego Kazimierza Zamskiego. Tego samego wieczora hrabia wyszedł z hotelu Royal i dotychczas nie powrócił. Dowiedziałam się, że hrabia Zamski miał następnego dnia pojedynek, lecz skutkiem niespodziewanej interwencji policji został zaaresztowany i zamknięty w jednym domu, w którym jeszcze dotychczas się znajduje!"

„Proszę chwilkę cierpliwości", przerwał dyrektor i przycisnął guzik elektryczny.

Równocześnie otwarły się drzwi, a na progu pojawił się młody urzędnik.

„Proszę zobaczyć w dzienniku, czy aresztowano niejakiego hrabiego Kazimierza Zamskiego"!

„Do policji nie nadeszło żadne doniesienie!"

„Dziękuję panu!"

„Otóż moje panie muszę wam oświadczyć, że tutaj zachodzi jakieś nieporozumienie," odparł dyrektor policji, zwracając się do obydwóch przyjaciółek.

„Byłam przygotowana na taką odpowiedź", zawołała Elżutka, „i jestem przekonana, że urzędnik, który zaaresztował hrabiego, był przebranym bandytą. Kazimierz Zamski znajduje się w tak zwanym „zamku szczurów".

„Ah, znam ten budynek. Obecnie mieści się tam zakład dla nerwowo chorych".

„Tak jest, — lecz to tylko pozór. Właściciel tego domu jest znanym bandytą. Nazywa się doktór Morizano."

„Posiada pani jakie dowody, że hrabia Zamski znajduje się nieprawnie w domu doktora Morizano?"

„Tak jest!" odparła Elżutka i podała dyrektorowi policji złoty zegarek, wysadzany brylantami i ową kartkę.

Urzędnik przeczytał uważnie pismo Kazimierza. — Nagle zerwał się i zawołał stłumionym głosem:

„Niema ani minuty do stracenia! Może nam się uda wyrwać hrabiego z rąk zbrodniarzy. Jeżeli panie zechcą, to pojedziemy razem do mieszkania tych łotrów!"

„O, będziemy mocno zobowiązane, jeżeli pan dyrektor raczy nas zabrać ze sobą", zawołała Anielcia.

Szef policji zadzwonił i rozkazał wchodzącemu sekretarzowi, by przyprowadził sześciu zdolnych detektywów.

W kwadrans później Anielcia i Elżutka jechała z urzędnikami policyjnymi do „zamku szczurów."

Wreszcie powóz zatrzymał się nad brzegiem Tamizy, urzędnicy, ubrani po cywilnemu, otoczyli dom, a szef policji zadzwonił.

Po chwili otwarła się brama, a na progu zjawił się stary Pifferon i spojrzał na dyrektora podejrzliwym wzrokiem.

„Co pan sobie życzy?" zapytał ostro stary Pifferon.

„Chcę pomówić z panem doktorem Morizano", rzekł szef policji.

„W jakiej sprawie?"

„Względem jednego warjata", brzmiała odpowiedź; „proszę powiedzieć panu doktorowi, że na dole czeka Brown z Edynburga".

Pifferon otworzył tymczasem całą bramę.

Szef policji przekroczył próg. W następnej sekundzie wyciągnął błyskawicznym ruchem mały rewolwer i przyłożył go do czoła wystraszonego Pifferona.

„Jedno słowo, — a zastrzelę cię jak psa!" zawołał szef policji.

Równocześnie weszli do sieni detektywi, a za nimi Anielcia ze swoją przyjaciółką.

„Na którem piętrze mieszka doktor Morizano?" zapytał dyrektor starego grabarza, który ze strachu tylko z trudem trzymał się na nogach.

„Odpowiadaj i mów prawdę," rozkazał szef policji.

„Doktor Morizano jest obecnie na pierwszem piętrze w swojej kancelarji".

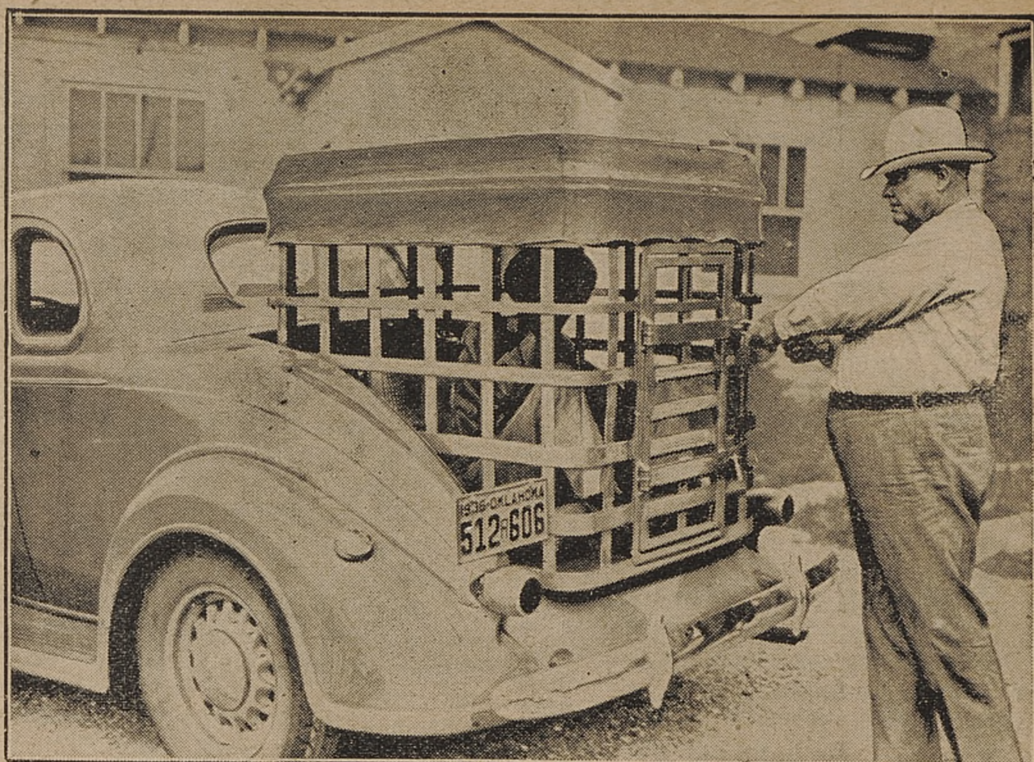
„Sam?"

„Nie, — razem ze swoim wspólnikiem!"

„Jak się nazywa ten wspólnik?"

„Alfred Robber".

Ciąg dalszy na stronie 619.



W Oklabona (Stany Zjednoczone) zbudowano dla policji samochody, których używa się do pościgu za przestępcami. Ujęty zbieg wędruje najpierw do klatki (nasze zdjęcie), a stamtąd do więzienia.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ODESZŁO CICHO JUŻ TO, CO PRZYSZŁO...

Pani Ludwice Sühringrowej z Grabowa — nad Prosną, w dowód wielkiej sympatji — poświęcam.

Opustoszały już pola w dali —
Tyle w nich smutku i rezygnacji,
Już jarzębiny się krwawo palą
I już skończyły się błogie wakacje...

Szybko przeminął czas marzeń złoty,
Odeszło cicho już to, co przyszło,
Z dnia na dzień więcej w sercu tęsknoty,
Co się purpurą w liściach zapisze.

Powrócą znowu stare wspomnienia
I nowe, słodkie do nich przybędą —
O, jakże miło będzie jesienią
Ze wspomnieniami wieść znów gawędy...

Pomyślę wtedy osamotniona
O kimś dalekim, dobrym bez końca,
O barwnem życiu z tamtej już strony
I się uśmiechnę sercem gorąco....

I choć rozpłacze się wicher jesienią
I świat okryje się znów szarugą,
Zagaśnie żal, gdy moje wspomnienia
Popłyną wieczorem piosenką długą...

Marja Zemmlerówna.

TĘSKNOTA

„Iry — Pomorzanka". Do „Krainy" przyjmuję Panią z otwartemi ramionami i chętnie apeluję w imieniu Pani o miłe liściki. Tym, którzy się Panią zainteresują, zdradzę, że jest Pani bardzo sympatyczną i inteligentną osóbką i że korespondencja z Panią przyniesie każdemu dużo zadowolenia.

A teraz, kiedy już wszelkim „formalnościom i utartym w „Krainie" zwyczajom", uczyniłam zadość, oddaję głos Pani:

„Nareszcie zdobyłam się na odwagę, aby napisać do „Krainy". Już przeszło rok abonujemy z siostrą „Moje Powieści" i jesteśmy pismem tem zachwycone.

W dużej mierze do napisania tego listu, przyczynił się także brak towarzystwa, jaki odczuwam tutaj na wsi.

Dotychczas łagodziłam tę bolączkę czytaniem książek. Lektura obchodziła mnie zawsze ogromnie, począwszy już od pierwszych szkolnych lat. Bez książki nie mogłam poprostu żyć. Książek złych nie czytałam, bo takich nie było w bibljotece gimnazjalnej, z której przez kilka lat okrzystałam. Nad wszystkie inne książki przekładałam powieści historyczne. Zajmuje mnie także poezja — wolę jednak utwory poważne.

Obecnie czytać nie mogę, gdyż poprostu trudno mi skupić uwagę. Taka cudna teraz pogoda na wsi.

Przechadzki za wieś w pola zaliczam do najprzyjemniejszych chwil. Idąc samotnie wśród pustych, nagich ściernisk tęsknię za czemś nieokreślonem. Myślę także, jakby to dobrze było gdyby ktoś z „Krainy" napisał do mnie pewnego dnia.

O sobie napiszę krótko: jestem jeszcze bardzo młodziutka. Lubię bardzo dokazywać i beztrosko śmiać się. Czy jest w „Krainie" druga taka osóbka? O ile tak niech mi prześle od siebie jakiś znak".

NIE TRZEBA...

P. A. K. z B. List Pana oraz pocztówkę z Kruszwicy — odebrałam. Dziękuję za pamięć!

Pyta Pan jak mogę udzielać dobroci, bez własnych cierpień... Nie będę Panu pisała o tem, czy w życiu cierpiałam, czy nie i z jakiego powodu, bo to nie wchodzi w zakres mych odpowiedzi, zaznaczę tylko, że dobroć moja zasadniczo nie jest bezinteresowna. Odpłacam się bowiem dobrocią za dobroć, za zaufanie, za szczerość. Dodam także, że wiem co to ból i co tęsknota... i dlatego prawdopodobnie w moich odpowiedziach znajduje się to, co Pan nazwał „dobrocią i zrozumieniem serc innych".

Co do reszty listu, ogromnie wzruszającej i tragicznej, przesyłam Panu już nie słowa współczucia, ale kilka słów wyjętych spod serca, słów pokrzepienia: Bracie mój, nie lękałam się trzymać Twego listu, a nawet, gdybyś był blisko, nie wahałabym się chwili, podać Ci dłoń. Jesteś mi bliski i kocham Cię, jak każdego innego człowieka. Cierpisz i czekasz na kres... Łzy mam w oczach, gdy myślę o Tobie i chciałabym dla Ciebie zrobić coś miłego, co sprawiłoby Ci radość i zadowolenie. Napisz, proszę, czy nie mogłabym Ci w czemś pomóc... coś zrobić dla Ciebie... Na tyle tylko mogę się dzisiaj zdobyć, chciałabym pisać więcej, ale stale myślę o Twojej „Modlitwie"... Tyle w niej smutku! Dlaczego? Nie trzeba się lękać przyszłości, gdyż będzie ona wielką rozkoszą, ucieszeniem i szczęściem. Nie trzeba się lękać, mój Smutny Bracie...

JAK KTO WOLI?

„Ryśka D." Jesteś, „Rysieńko", pierwszą w „Krainie" osobą, której zależy na tem, abym była jak najwięcej tajemniczą. Bardzo ładnie o tem piszesz, więc niżej zamieszczam Twoje słowa i poddaję je dyskusji. Jeżeli Twoje wywody, „Rysieńko", trafią do licznych przekonań — kapituluję, i nigdy ani przez myśl mi nie przejdzie, aby zamieścić swoją podobiznę w „Moich Powieściach". —

„W „Krainie Szczerości" była kiedyś odpowiedź dla jednego z Sympatyków, w której wspomniała Pani, że zamieści swoja fotografję. Ja nie chcę — niech Pani tego nie robi. Dla mnie jest Pani ładną, strasznie miłą, dobrą i kobiecą — i to mi wystarczy. Co do szczegółów, to nigdy nie zastanawiałam się, czy ma Pani blond włosy czy też krucze. Dla mnie jaką Pani jest i jaką będzie zewnętrznie, jest obojętne — zawsze Pani pozostanie u mnie najukochańszą. Darzę Panią naprawdę mocnem uczuciem, choć Pani nie znam. I, jeszcze raz powtarzam, że nie chcę, aby Pani była wszystkim znaną, naprawdę!

Na zakończenie odwzajemniam pozdrowienia, przesłane mi przez „Blankę" i „Erosa". Może napiszesz do mnie, „Blanko"?

Osobne pozdrowienia i serdeczny uścisk dłoni ślę z za morza p. Władkowi Skudlapskiemu przebywającemu w Afryce".

„DŁUGO CZEKAŁAM DAREMNIE"...

„Barcia". Napisała Pani do mnie dopiero pierwszy raz i już tak serdecznie i szczerze. Dziękuję Pan za to!

Pragnie Pani należeć do „Krainy" i nawiązać skimś wymianę myśli... Pierwszemu życzeniu Pani czynię odrazu zadość — drugie powierzam przyszłości.

A teraz kilka słów z Pani liściku:

„Utartym zwyczajem przedstawiam się w pierwszym rzędzie całej „Rodzince": jestem wysoką, szczupłą brunetką o rumianej buzi i czarnych, figlarnych oczach, które ciekawie patrzą na świat. Mieszkam w małej, zapadłej mieścinie. Gorącem mojem pragnieniem, to nawiązanie korespondencji z kimś miłym i na prawdę pogodnym. Na nudy nie skarżę się nigdy, gdyż wypełniam sobie życie po brzegi pracą, jedyną bolączką moją to brak przyjaznej duszy. Długo czekałam na nią daremnie, może więc przyjdzie wreszcie?...

DLA UROZMAICENIA

„Czarny Olek". Dzisiaj przesyłam Panu tylko serdeczne pozdrowienia i wiadomość, że apel Pana podam w następnym numerze.

Załączam również dla urozmaicenia kilka słów cichej skargi i smutnych zapytań Marji Konopnickiej, które niewątpliwie wzruszą Pana i oczarują pięknem myśli... temwięcej, że słowa te są dla Pana aktualne...

O Panie! Ty po burzy dajesz tęczę światom,
Ty podnosisz kielichy pochylonym kwiatom,
Rozwijasz skrzydła ptasząt i ostatnią chmurę
W rozjaśnionego słońca przystrajasz purpurę...

— — — — — —

Ach! czemuż w piersi ludzkiej, rozbitej od gromu,
Zamiast ciszy i tęczy jasnego pierścienia,
Pozwalasz, aby grzmiały głucho, pokryjomu
Echa burzy duchowej, trujące wspomnienia?...

POZDROWIENIA I PROŚBY

„Złotowłosa Haluś". Była Pani w Mogilnie a więc niedaleko Żnina i... zapomniała Pani o mnie... Czy przy następnej okazji zajrzy Pani do Żnina? O ile tak, podziękuję Pani osobiście za dobry i piękny liścik i serdecznie uściskam za to, że jest Pani tak szalenie miłą i taką biedną w swoim smutku i samotności.

Żegnam Panią, „Złotowłosa Halusiu" i nie zapominam przedrukować Pani dopisku:

„Serdeczne pozdrowienia przesyłam „Starej Pannie" — „Zefi" — „Maleńkiej Dzidzi" oraz dołączam prośbę o kilka słów.

Hallo! „Bolko z Bydgoszczy"! — napisz, proszę do mnie — jestem z Wtelna!"

...Co STAŁOBY SIĘ WTEDY?...

„Akri". Zaraz po otrzymaniu Pani listu poleciłam administracji, aby wysłała Pani brakującą wkładkę „Moich Powieści" — czy odebrała ją Pani?

Cieszę się, że korzysta Pani w pełni z wakacyj i żałuję, że nie mogła Pani wyjechać nad morze. Przywiozłaby Pani stamtąd zapewnie niezatarte wrażenia, temwięcej, że miała Pani zamiar wstąpić po drodze do jednej z Sympatyczek „Krainy".

Pyta Pani o moje wakacje... Zofja z „Krainy szczerości" nigdy niema wakacyj, Miła „Akri" — nie może mieć, bo co stałoby się wtedy z „Krainą" i kochanemi listami Sympatyków"?...

Pisz jak najczęściej, Kochanie i przyjm ode mnie moc buziaczków!

„DLACZEGO?"...

„Maruta". Dziękuję Ci, Kochana „Maruto", za miły liścik i bardzo chętnie zamieszczam Twój apel:

„Hallo"! „Felu z Trok"! Dlaczego tak długo nie piszesz? „Mało Konwalijko"! Dziękuję Ci za troskliwość i ślę Ci całusy. Pozdrowienia dla „Blanki" i „Białej Uajali" i wszystkich Marylek, jakie są w „Krainie" i jeszcze pozdrowienia dla Sympatyków, którzy lubią czarne dziewczynki. Jestem tak czarna, iż nie warto ryzykować i nawet dwóch groszy dawać na to, że nie jestem cyganką — ba! ja sama nawet w to nie wątpię!"

CZEKAM...

„Heniek". Na wizytę Pana ogromnie się cieszę. Czekam...

Dopisek z listu „Heńka":

„Łączę pozdrowienia i życzenia spędzenia miłych wakacyj dla: „Smutnej Oleńki" — „Dziedziczki z Kopytkowa" i „Kwiatu Lotosu". Dlaczego nie odpowiada mi na list „Muszka"? Dlaczego Ty, „Blanko"?

„CHCIAŁABYM"...

„Tatjana". Bardzo mi miło, że „Moje Powieści" są Pani przyjacielem i że zdecydowała się Pani do nas napisać. Do „Krainy" przyjmuję Panią i odtąd ma Pani prawo pisywania do nas listów i radzenia się w wszelkich wątpliwościach. Czy będzie Pani korzystała z tego prawa? — chyba tak!

Ponieważ liścik Pani jest dopiero pierwszym, oddaję go do przedruku, gdyż chodzi o to, abyśmy wszyscy Panią poznali:

„Chciałabym nawiązać korespondencję z osobą szczerą i dobrą. Cieszyłabym się bardzo, gdyby znalazło się w „Krainie" takie serduszko.

Mam lat 22 i potrafię być nieraz wesołą, ale także, gdy trzeba, poważną. Lubię śpiew i muzykę i wszystko to, co jest pięknem i prawdą".

HALLO!

„Smutny Stef" nadesłał do „Krainy" kilka następujących słów:

„Hallo! — „Smutnej Sosence" — „Alwirze" i „Izarys" zasyłam moc pozdrowień i uścisków dłoni. Proszę bardzo o liściki! Odpowiedź — zapewniona!

Szczególnie proszę o liścik „Smutną Sosenkę", której słowa, umieszczone w „Krainie", wzruszyły mnie ogromnie".

W NASTĘPNYCH NUMERACH

„Terenia z pod Wrześni". O ile nie zamieściłam Pani komunikatów, to dowód, że listu Pani nie odebrałam.

Życzeniu Pani, niestety, uczynić narazie zadość nie mogłam, ale w następnych numerach „Moich Powieści" znajdzie Pani to, o co prosi.

Serdecznie Panią pozdrawiam i zamieszczam dopisek:

„Terenia z pod Wrześni", dziękuje ślicznie „Człowiekowi z ludu" i „Miłośnikowi kobiet" za przesłane pozdrowienia i w pełni je odwzajemnia".

LIST — ODEBRAŁAM

„Płacząca Brzoza". List Pani z fotografją odebrałam i dawałam już na niego odpowiedź. Czyżby jej Pani nie czytała?

Konkurs „Moich Powieści" został już rozwiązany. Nagrody, niestety, Pani nie otrzymała. Myślę jednak, że zdobędzie ją Pani w następnym konkursie — życzę już naprzód. Łączę przyjazny uścisk dłoni!

LISTEM NIE ZNUDZIŁAM SIĘ

„Złota Rybka". Niepotrzebnie zmartwiła się Pani, że mnie zanudzi listem. Gdzietam! Liścik był nadzwyczaj miły, no i przecież bardzo króciutki.

Sprostowanie Pani przyjęłam do wiadomości. Nie podaję go jednak w „Krainie", gdyż jest to zbyteczne — omyłkę może Pani zawsze sprostować listownie. Serdecznie pozdrawiam P. i czekam na nowe wiadomości.

CZY MOGĘ SIĘ DOWIEDZIEĆ?

„Dziedziczka z Kopytkowa". Ciekawa jestem czy domysły Pani się sprawdziły — czy mogę się tego dowiedzieć?

Życzę Pani jak najwięcej zadowolenia z świeżo nawiązanej korespondencji i serdecznie Panią pozdrawiam.

DZIĘKUJĘ!

„Ślicznej Mieni" przesyłam miłe pozdrowienia, a przedewszystkiem podziękowanie za „szkice" — i przepraszam, że zapomniałam o ostatniem... w Grab...

DLA „ZACNEGO GRONA" Z GRABOWA

„Ktoś" przesyła śliczne ukłony i pozdrowienia „Zacnemu Gronu" z Grabowa. Osobne pozdrowienia p. Ludce i Jej Mężowi, pp. Reni, Xeni i Jance oraz p. Bolesławowi. Uściski rąk Szan. P. P. Błaszczyńskim. Milutkie pa! — „Kłębusiowi".

W JEDNYM Z OSTATNICH NUMERÓW

„Narcyz". Prośbie Pana z największą chęcią uczyniłam zadość. Odpowiedź na poprzedni list dawałam już Panu w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści". Serdecznie pozdrawiam!

PISZ JAK NAJCZĘŚCIEJ!

„Kapłanka Wschodu". Liścik Pani to jakby piosenka o złotem słonku, o polach i matczynej miłości — wzruszył mnie ogromnie. Pisz jak najczęściej, „Kapłanko" i przyjm ode mnie moc uścisków.

SERDECZNE POZDROWIENIA

„Fleur" przesyła serdeczne pozdrowienia: „Tajemniczej Brunetce" — „Zrozpaczonej Maryli" — „Wiernej Czytelniczce" i „Zbąszyniance".

(Osobną odpowiedź na list otrzymał Pan na innem miejscu.)

DZIĘKUJĘ!

P. U. M. z Torunia. List wysłałam. Za serdeczność bardzo Pani dziękuję. Oczekuję od Pani dłuższego listu — czy można? Łączę dużo, dużo pozdrowień i uścisków.

Teczka Wujka Janusza

JAK NAJUPRZEJMIEJ DZIĘKUJĘ!

„Stella Maris". Proszę niech mi Pani daruje nieco spóźnioną odpowiedź. Wypadało mi wcześniej podziękować Pani za sympatyczny list i piękny upominek z Szczawiny, niestety, nie wiedziałem nic o przesyłce, gdyż byłem zmuszony opuścić na dłuższy czas Żnin. Dopiero dzisiaj jak najuprzejmiej dziękuję Pani za dobroć i za ostatni, piękny liścik.

Fotografję — zwrócę Pani w najbliższych dniach. Wierszyk bardzo miły. Zamieszczam go niżej i jeszcze raz dziękuję, Drogiej Pani, jak najuprzejmiej za pamięć.

WIERSZ DLA CIEBIE...

Wzruszona patrzę na kwiaty kochane,
Któreś mi przyniósł wczoraj o tej porze,
Budząc w mem sercu uczucia nieznane,
Takie czarowne, jak błękity morza.

Bladoróżowe, cudne róże moje,
Z kryształowego chyląc się wazonu,
Przynoszą na myśl szare oczy twoje,
Lśniące stalowo w pomroce salonu.

Bladoróżowe, cudne róże wonne
Z kryształowego chyląc się wazonu,
Szepcą Twe słowa gorące, dozgonne,
Mówione przez Cię wśród ciszy salonu.

„Stella Maris".

...AŻ ZGUBIŁEM Z SERCA DAWNY ŻAL...

„Biała Uajali". List Pani wydał mi się wyjątkiem jakiejś pięknej, romantycznej powieści. Dotąd nie mogę uwierzyć, że to wszystko prawda, co Pani napisała, że tak szybko się spełniło, to, co zawsze przewidywałem. Podzielam Twoją radość, „Biała Uajali" i razem z Panią powtarzam prześliczne słowa Juljana Ejsmonda:

Idę brzegiem śpiewającej rzeki...
Złota radość dąży za mną w ślad...
Rzeka śpiewa o szczęściu i płynie...
Nad jej brzegiem szedłem w leśną dal,
Aż zgubiłem się w wonnej gęstwinie,
Aż zgubiłem z serca dawny żal...

Dopisek Pani zamieszczam niżej i oczekuję nowych wierszyków i nowych wiadomości.

„Hallo! hallo! Czesieńko M. — dlaczego tak długo milczysz? Dużo całusów i uśmiechów przesyłam — „Leśnej Rusałce" — „Córce Wichru (czekam na fotos!)" — „Smutnej Kazieńce" (dlaczego nie piszesz, Maleńka?) — „Cygance z gondoli złudy", (co się stało, że zamilkłaś?)

„Pomorzance z nad Wisły" — „Blance" — „Smutnej Klarucie" — „Lilli Wenedzie" — „Jaźdzce z Kujaw" — „Kalinie" — „Azie" — „Iste-Wenus" — „Płaczącej Brzozie" — „Beatrice" — „Dalecie" (chciałabym od Niej otrzymać kilka słów!), „Zapomnianej Sylenie" — „Samotnemu Romowi" — p. M. Grzegorskiemu, p. M. Choszczowi, „Błękitnemu Ryczerzowi" — „Leszkowi z Zielonej Doliny" i „Ord-Omowi" — pozdrowienia i siostrzane uściski".

Z CUDNEMI WSPOMNIENIAMI DOCZEKA SIĘ PAN NOWYCH WAKACYJ

„Lawrence". To co przyjemne i piękne, zwykle prędko się kończy — tak samo przedstawia się sprawa z wakacjami Pana. Były, minęły i obecnie zostały już po nich tylko wspomnienia — bardzo piękne wspomnienia, jak wywnioskowałem z listu. Z temi cudnemi wspomnieniami lekko doczeka się Pan następnych wakacyj, prawda?

A propos „Domku trzech dziewcząt" Schuberta: szczególnie lubię wyjątki z tej opery, noszące w specjalnem wydaniu nutowem, nazwę — „Tańce niemieckie"? Czy Pan może zna słowa tych pieśni? — są bardzo piękne i ciekawe.

Łączę przyjazny uścisk dłoni i pozostaję w oczekiwaniu na nowy list.

NAPRÓŻNO BADAĆ DUSZĘ KOBIETY...

„Hanna". Dziwny i oryginalny w ujęciu był Pani liścik. Czytałem kiedyś ciekawy wierszyk jednego z polskich poetów i oto słowa, które zapamiętałem i które z powodzeniem mogę zastosować do Pani:

Napróżno badać duszę kobiety
Mędrcom i rzeszy śpiewaków,
Każde ich dzieło zwiedzie, niestety:
Napróżno badać duszę kobiety.

Takie w niej wady, takie zalety
I taka znowu toń braków,
Że próżno badać duszę kobiety —
Mędrcom i rzeszy śpiewaków.

Czy mogę spodziewać się nowych wiadomości od „Córy wichrów i Miłośniczki słodkich piosenek i błękitnych chmurek"?

Raj kobiet



Na chłodne dni końca lata i początki jesieni — najstosowniejszem i zarazem najwygodniejszem ubraniem jest wełniana spódniczka i sweterek ręcznie robiony. Jeżeli swetr ma nas zdobić, musi sam też być ozdobny — pamiętając o tem, baczną uwagę zwróćmy na załączone modele pulowerków (praca szydełkowa).

Czas już skończyć z plagą konkursów piękności

Skończyły się na szczęście u nas konkursy piękności i wybory Miss Polonji. Zdawałoby się, że zostały już dostatecznie ośmieszone i wykpione, a jednak...

A jednak niedawno temu zorganizowano w Warszawie nowy tego rodzaju konkurs — wybory królowej midinetek warszawskich. Na dłuższy czas przed wyborami, w jednem z brukowych pism warszawskich ukazywały się zapowiedzi tego konkursu, do którego miały prawo wszystkie pracownice młode i oczywiście ładne.

W zapowiedzianym dniu konkursu stanęło przed jury sto kilkadziesiąt głupiutkich stworzeń, które wykrygowane i powystrajane defilowały przed stołem „sędziów" i zgromadzoną publicznością.

„Królową Pracownic" wybrana została siedemnastoletnia pannica, jakoby gorseciarka. Dalej wybrano i koronację wybranek odłożono do następnego tygodnia, by zarząd ogrodu, w którym te wielkie uroczystości się odbywały mógł zebrać od naiwnych, nową, sporą sumkę za bilety wejściowe.

W ub. niedzielę odbywała się właśnie „koronacja" królowej i całego orszaku. Na specjalnem podjum, do którego dostępu bronił publiczności nieodzowny „pan władza" z pałką gumową w ręku, zgromadziły się wyróżnione uczestniczki konkursu.

Rozpoczęła się koronacja. Ktoś z jury wkłada ogłupiałej „królowej" — ogromną złotą koronę na głowę i wręcza jej — jako nagrodę, książeczkę PKO. z pierwszym wkładem trzydziestu złotych. Następnie ta sama ceremonja z wicekrólowemi — tylko suma na książeczce zmniejszona do złotych piętnastu. To są zresztą jedyne i rzeczywiście realne korzyści konkursu dla tych dziewcząt.

Po koronacji miałam to wielkie szczęście rozmawiać i przyjrzeć się bliżej królowej. Myślałam, że to będzie miłe, zahukane stworzenie... Tymczasem ta siedemstoletka — zrobiona na wampa z amerykańskich filmów — z wygolonemi brwiami i ślicznie ołówkiem wyrysowanemi półkołami na czole, z ustami wyrysowanemi „w serduszko" z bardzo, ale to bardzo wymalowanemi rzęsami — przypomina raczej wszystko inne, niż biedną gorseciarkę, siedzącą od rana do nocy z igłą w ręce.

Okazało się zresztą, że gorseciarką nie była i nie jest i — przekonana jestem nigdy nią nie będzie. Była przez tydzień dziewczynką na posyłki w jednej z pracowni gorseciarskich, a pożatem, statystowała kiedyś w jakimś filmie. To cały dorobek jej dotychczasowej pracy.

— Czemu, pani taka młodziutka tleni sobie włosy?

— Nie, one nie są tlenione, ja je tylko rozjaśniam.

— Tak. I zdziwione spojrzenie ładnych zresztą oczu.

— I matka pozwala pani na to golenie brwi i takie przeraźliwe malowanie się?

Tym razem w błękitnych oczach królowej zamigotały złe błyski — odpowiedzi nie było żadnej.

— A chciałaby pani pracować?

— Dlaczego nie, owszem... wypowiedziane powoli, z niechęcią i bez przekonania.

Zato później dziewczątko rozgadało się na dobre. Opowiadało o tem, że jej fotografję umieści w najbliższym numerze, jako przyszłej gwiazdy filmowej jeden z panów redaktorów... Ma właśnie być u niego w redakcji jutro w południe.

Nie, bardzo mi się nie podobały te wyróżnione reprezentantki pracownic warszawskich. A tyle znam przecież spośród nich różnych miłych dziewcząt. Małe szwacuchy, ekspedjentki. Tak tylko one napewno nie stawałyby do tego rodzaju konkursów, cały dzień pracują, a jedyny dzień wypoczynkowy — niedzielę — obracają na wypoczynek właśnie i na inne, milsze i bardziej kulturalne rozrywki.

Dzień oderwanych guzików

W Anglji prowadzona jest od pewnego czasu propaganda za ustaleniem dnia 1 września każdego roku jako dnia „oderwanych guzików". W dniu tym wszystkie Angielki miałyby pozostać w domu i przyprowadzać do porządku garderobę mężów. Oryginalny pomysł pozwalałby wnioskować o niezbyt wielkiej pochopności wielu pań domu w Anglji do przyszywania guzików i cerowania dziur w ubraniu. Takie przynajmniej wrażenie czynią na mieszkańcach kontynentu osobliwa propaganda angielska.

Taki „dzień" przydałby się i w Polsce.

Francuska lekarka — znachorką

W pewnej małej wiosce francuskiej od dłuższego czasu cieszyła się wielką sławą „znachorka" p. Mireille Foucard.

„Cudownie" uzdrawiała chorych, „odczyniała" ich cierpienia. Tajemniczemi „zamówieniami" zdobyła zaufanie wieśniaków.

Niedawno, na skutek doniesienia lekarzy p. Foucard została aresztowana pod zarzutem uprawiania znachorstwa.

Okazało się jednak, że posiada ona legalnie wystawiony dyplom lekarski z paryskiego uniwersytetu.

Widząc, jak jej koleżanki-lekarki głodują, użyła podstępu i jako „cudownie" lecząca znachorka zdobyła sławę i fortunę.

Ta mistyfikacja była zdaniem jej konieczną, gdyż zwykła kobieta — lekarka miałaby pacjentów.

Świat i życie

Bandyci zostali żandarmami

Ekspres przebiega wielką nizinę węgierską. Podróżni stojąc przy oknach spoglądają z podziwem na krajobraz, roztaczający się przed ich oczyma. Faluje na tej niezmiernej płaszczyźnie morze kłosów, ubarwione czerwonemi plamami maków.

Ten krajobraz spokojny o jednostajnem obliczu, zdawałoby się — zawsze tak wyglądał. Sto lat temu jednak — było tu zupełnie inaczej. Przecinająca nizinę rzeka Tisza, obecnie uregulowana, stanowiła wówczas jedną z niebezpiecznych, niszczących sił natury. Co roku na wiosnę występowała ze swego koryta, tworząc niedostępne wysepki, otoczone wirami wodnemi. Tam kryli się ci, którzy mieli powody do ucieczki przed światem.

W ubiegłym stuleciu groźne szajki bandyckie hulały po tej cichej pustce, a atmosfera tajemniczości zawsze im towarzysząca, otaczała legendą postać ich wodza Sandora Rozsa'y. Do dziś żyje on w pieśniach i opowiadaniach ludowych. Ludność miejscowa nietylko mu sprzyjała, lecz otaczała go zawsze wdzięczną pamięcią: nawet najpiękniejsze wieśniaczki nie wahały się ukrywać u siebie „szlachetnego rozbójnika".

Po latach samowładztwa rozbójników, rząd wysłał na nizinę węgierską księcia Raday'a. Tysiącznemi wybiegami i umiejętną perswasją zjednał on sobie zaufanie bandytów i mianował ich... żandarmami. Było to jedyne wyjście z sytuacji.

W roku 1848, w czasie walki o niepodległość, Sandor Rozsa utworzył ze swych ludzi „wolny oddział" który się tak niezwykłem męstwem odznaczał, że rząd ustanowił powszechną amnestję dla wszystkich „byłych" bandytów.

Obecnie na nizinie węgierskiej niema już romantycznych bandytów... Zamieszkuje ją jednak kasta ludzi nieznana gdzieindziej. Są to robotnicy ziemni, posiadający swój specjalny system wykonywania robót ziemnych, dopiero teraz stosowany w Europie. „Kubikusze" — nazywani tak od kostek sześciennych których używają do budowy wałów, dróg, tam itp. Kubikusze już przed wojną byli poszukiwani w Europie i Ameryce i cieszyli się sławą najlepszych pracowników ziemnych. Wyróżniają się nietylko niezwykłą siłą i wytrzymałością na trudy, ale i dokładną znajomością strony technicznej swej pracy.

Obecnie, w czasie powszechnego kryzysu i ich położenie jest niezmiernie ciężkie. Charakterystyczne jest to, że ci prości robotnicy prawie wszystkie swoje oszczędności wydają na kupno książek. Są oni najgorliwszymi czytelnikami bibljotek publicznych. W małej chatce, na wielkiej nizinie węgierskiej, często długo w noc płonie na stole mizerna lampka naftowa, a wokół zebrana rodzina zatapia się w czytaniu książek naukowych.

Ze świata

Nie wolno obchodzić urodzin

Każdemu obywatelowi północnych Chin, dopóki nie przekroczy 60 roku życia, nie wolno obchodzić urodzin. Powodem tego osobliwego zakazu jest przyjęty w Chinach zwyczaj obchodzenia urodzin z wielkim przepychem i wystawnością. Niemal zawsze uroczystość pochłania większe sumy od przewidzianych w budżecie solenizanta. Rząd uważa więc, że lud

ubogi niema prawa zadłużać się z błahego powodu, jakim jest zaimponowanie zbytkiem i rozrzutnością. Dopiero ci, którzy przekroczyli 60 lat mogą sobie pozwolić na uroczyste uczczenie ich późnego wieku.

11 miljonów przestępczych rąk świata

Niedawno opuściło prasę drukarską obszerne studjum, pióra szefa policji angielskiej Sir E. Henry, o niezwykłej kolekcji przeszło 11 miljonów odbitek palców osób, które kiedykolwiek były skazane przez sądy. Kolekcję tę posiada policja wszystkich krajów. W samym tylko Londynie centralne biuro Scotland Yardu posiadało w 1935 r. 529.566 odbitek palców.

Stwarzamy już sztuczną rosę

Współpracownicy Instytutu badań nad sztucznym deszczem przeprowadzili w okolicy Achkabadu ciekawe doświadczenie. Zapomocą pewnych składników chemicznych zdołali wytworzyć podczas słonecznego poranka falę sztucznej rosy. Okazało się, że zapomocą środków chemicznych można wytworzyć nietylko sztuczną mgłę, ale wydobywać w formie deszczu wilgoć z chmur.

70-letni marynarz wynalazcą

W Szwecji od szeregu lat istnieje Fundacja Lagermana, która powstanie swe zawdzięcza słynnemu wynalazcy szwedzkiemu Lagermanowi. Do jednego z najbardziej znanych odkryć Lagermana zalicza się automatyczną maszynę do wyrobu zapałek. Fundacja została założona w celu finansowego poparcia wynalazców, którzy przeważnie znajdują się w ciężkich warunkach materjalnych. Komitet Fundacji bada szczegółowo każde zgłoszenie i udziela nagrody tylko w wypadkach rzeczywistej wartości i wynalazku. Wśród wyróżnionych ostatnio przez Fundację Lagermana znajduje się marynarz szwedzki Johan Olof Nilsson, liczący przeszło 70 lat. Nilsson mieszka stale w Islandji i nie widział swego ojczystego kraju od 1899 r. Wynalazek Nilssona wprowadza nową metodę usuwania gazów spalonych z motorów spalinowych. Nilsson opatentował swój wynalazek, ale na odległej wyspie północnych mórz nie miał możności zastosowania swej metody w praktyce. Obecnie dzięki wydatnej pomocy Fundacji stary marynarz zamierza przybyć do kraju i zainteresować sfery fachowe swym wynalazkiem.

Pijaństwo w świecie mrówek

Mrówki stawia się zwykle ludziom jako przykład i wzór wszelkich cnót i zalet życia zbiorowego. A jednak mają i one wady. Spotyka się wśród nich nieraz silnie zakorzeniony nałóg pijaństwa. Zdarza się to w czasie, gdy w gościnę do nich zawita w osobie pewnego chrząszcza gość, z którego gruczołów sączy się ciecz, działająca jak narkotyk, jest ona czemś w rodzaju wódki dla mrówek. Gościa takiego mrówki pieczołowicie strzegą i dogadzają mu we wszystkiem, byleby tylko móc upajać się narkotykiem, jakiego im dostarcza. W czasie takich odwiedzin najpracowitsze robotnice zaniedbują swe obowiązki, przestają wypraważać się po pożywienie dla całego państwa, przestają troszczyć się o larwy, tylko piją i upijają się. Tymczasem gość tak mile widziany nie próżnuje, lecz składa swe jaja w mrowisku. Z jaj tych lęgną się żarłoczne gąsieniczki, które ze szczególnem upodobaniem zjadają larwy i poczwarki mrówek (t. zw. mrówcze jaja). Gdy mrówki ochłoną z odurzenia wywołanego obecnością żywej propinacji" znajdują swe państwo w stanie ruiny. Tak więc i w świecie mrówek pijaństwo wywołuje zgubne skutki.

Drzewo, które żywi się małpami

Przed kilku laty jeden z brazylijskich uczonych dokonał niezwykłego odkrycia. Znalazł on mianowicie w brazylijskiej Gujanie pewien gatunek drzewa, które żywiło się małpami. Drzewo to jest wysokości 4-piętrowej kamienicy i tworzy olbrzymi splot tysięcy gałęzi, wydając z siebie zapach, który wabi małpy. Nieogiędne i łakome, wpadają w objęcia gałęzi, które natychmiast szczelnie oplatają ciało każdej małpy. Przez trzy dni trwa ten skurcz, kończy się tem, że po trzech dniach gałęzie rozwijają się, a na ziemię spadają już tylko... kości. Uczony ten na dowód prawdziwości swych słów przedłożył naukowemu zakładowi badawczemu w Rio de Janeiro fotografje tego dziwnego drzewa.

Kongres światowy liliputów

W Budapeszcie mieszka bogaty przemysłowiec Julius Gont, liliput, który jest niejako niekoronowanym królem liliputów. Zadaniem i celem jego życia jest stworzenie na urodzajnych dolinach węgierskich małego państwa liliputów. Energiczny ten człowiek, doskonały kupiec i „businessman" stara się w obecnej chwili ściągnąć wszystkich liliputów z całego świata na wielki kongres do Budapesztu, gdzie ma być rozpatrywane urzeczywistnienie projektu „państwa lilipuciego". Kongres ma na celu również zwrócenie uwagi całego świata na rozproszone po świecie 56 tysięcy maleńkich ludzi, ich trudne życie i niedolę. — Juliusz Gont jest właścicielem magazynów konfekcji w Budapeszcie, których specjalnością są ubrania i przedmioty codziennej potrzeby dla liliputów. Na Węgrzech jest ich bowiem najwięcej, około tysiąca zamieszkuje po miastach i w puszcie węgierskiej. W innych krajach naród liliputów istnieje w znacznie mniejszym procencie. Gont pragnie zorganizować liliputów w obrębną gminę, gdzie mogliby żyć spokojnie i bez uczucia upośledzonej wartości, jakie wywołuje obcowanie z ludźmi normalnymi. Pragnie, aby znaleźli ochronę przeciw managerom, wykorzystującym ich kalectwo dla celów zarobkowych. Szczególnie zaś pragnie Gont przez ustanowienie specjalnego prawa dla gminy liliputów zapobiec rozpowszechnionemu wśród nich obyczajowi sprzedawania dzieci do cyrków i bud jarmarcznych.

Będziemy widzieć w nocy

Jedna z niemieckich firm elektrotechnicznych po długich badaniach i licznych próbach laboratoryjnych rozwiązała zagadnienie widzialności przedmiotów w nocy, lub poza zasłonami z mgły. W tych dniach inżynier firmy na posiedzeniu klubu techniczno-literackiego przedstawił rodzaj lornetki, która pozwala na widzenie przedmiotów nietylko w nocy, ale również poprzez zasłony dymne, co ma duże znaczenie w wojnie.

Aparat ten opiera się na tej samej zasadzie jak fotografowanie przy pomocy promieni ultraczerwonych, z tą różnicą, że pozwala oku ludzkiemu chwytać obrazy bezpośrednio. Wynalazek wywołał wielkie zainteresowanie nietylko wśród techników, ale również w kołach wojskowych.

Murzyni mówią po polsku

Murzyni, mówiący po polsku, nie są rzadkością. W Ameryce, zwłaszcza w stanie Wisconsin. Z braku odpowiedniej liczby szkół murzyńskich, murzyni posyłają bardzo często swoje dzieci do szkół polskich, a że i Polaków w tamtych stronach jest dużo, mają murzyni możność dobrze nauczyć się języka polskiego którym podobno nawet posługują się w rozmowie między sobą.

Nikaragua wydała najwięcej znaczków pocztowych

Znaczki pocztowe wprowadzone na całym świecie około roku 1840. Od tego czasu wydano na kuli ziemskiej 64.056 rodzajów znaczków pocztowych. Najwięcej, bo 1340 modeli, wypuściła Nikaragua. Na drugiem miejscu kroczy Colombia z 1067 rodzajami znaczków. Najwięcej oszczędnym pod tym względem jest kraj Edwarda VII (w Austra'ji), gdzie ukazał się tylko jeden rodzaj znaczków pocztowych.

Czy dojdzie do rozmów międzyplanetarnych

Fale krótkie interesują świat radjowy nietylko ze względów komunikacji i rozrywki — mają one dziś szerokie zastosowanie w dziedzinie poszukiwań naukowych. W Anglji, właśnie opierając się na krótkofalarstwie, zorganizowano przy tygodn. „World-Radio" Ligę Poszukiwań Radjowych.

Działalność Ligi polega na tem, że silne stacje nadawcze transmitują w kolejności specjalne sygnały, których echa wtórne, już po odbiciu o Lustro Heavisidea, odbierane są dopiero po pewnym czasie, wprawdzie bardzo krótkim, ale jak obliczono, wystarczającym na powrót z odbicia o atmosferę jakiejś innej planety. Uczeni angielscy twierdzą, że fale radjowe wędrują jeszcze dalej, niżeli w sferach Heavisidea, co znaczyłoby, że przepływają próżnie elektryczne, dzielące światy. Krótkofalowcy notują skrzętnie te wszystkie echa, z tych notowań powstać ma nowa teorja o działaniu fali elektrycznej. Ci sami uczeni obiecują sobie nowych epokowych odkryć przy pomocy fal ultrakrótkich i mikrofali. Może tedy radjofonja krótkofalowa stanie się narzędziem rozmów międzyplanetarnych.

Radjo uratowało lotnika

Lotnik angielski Grierson, który wystartował ze stolicy Islandji do lotu przez Grenlandję do Kanady, musiał przerwać swój lot i wylądować na niezamieszkałym brzegu Grenlandji. Statek rybacki „Derwisz" otrzymał drogą radjową wezwanie Giersona o ratunek. Lotnik powiadomił, że wylądował pomyślnie i że ma żywności na 10 dni. Na poszukiwanie zaginionego udały się 4 statki duńskie, które odnalazły lotnika na pustynnym wybrzeżu Grenlandji. Grierson odleciał rychło potem do Angmagsalik. I znowu radjo uratowało życie ludzkie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Franciszek L. Brzostowo. Starania Pana w wiadomej sprawie są zbyteczne. Spóźnione — nie przyniosłyby żadnych rezultatów.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 23 sierpnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia 12.03 Poranek muzyczny ze Lwowa 14.30 Audycja dla wsi 15.55 Muzyka salonowa 16.30 Reportaż z życia 17.00 Audycja ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie 21.30 Koncert rozrywkowy z Poznania 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 24 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Mascagni-Leoncavallo (płyty) 16.00 Koncert 16.45 „O grzybach jadalnych i trujących" — pogadanka 17.00 Audycja karaimska z Wilna 17.25 „Skrzypce i fortepian — instrumentami jazzowemi" (płyty) 17.50 „Odpoczynek zorganizowany" — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Koncert ze studja na Wystawie radjowej w W-wie 22.00 Koncert rozrywkowy z Wilna 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 25 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Koncert 16.00 Barytony i basy (płyty) 16.45 „Jan Sobieski" — odczyt 17.50 „Bogactwo życia w korze drzew" — felJeton 18.00 „Tajemnicy kajetu Stanisława Brzozowskiego" szkic literacki 19.00 Audycja ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie 21.30 Ukraińskie pieśni ludowe w wyk. Marji Sokół (śpiew) 22.15 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 26 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Koncert muzyki lekkiej z Basenu w Ciechocinku 16.15 Muzyka lekka 17.00 Koncert w wyk. Zofji Doret (Sopran) i E. Wojakowskiego (flet) 17.50 „Anegdoty z życia Jana Reszkego" 19.00 Koncert ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie 19.25 Koncert rozrywkowy — transmisja z Wiednia 21.15 6 Audycja z cyklu „Utwory Fr. Chopina" 22.00 Koncert z cyklu „Słynne symfonje" 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 27 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Koncert południowy w wyk. orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16.00 Koncert popularny 16.45 „Rola społeczna KPO.'u" — odczyt 17.00 Recital fortepianowy Edwardy Feinsteinówny 17.30 Walce koncertowe (płyty) 17.50 „Szczur lądowy nad morzem" — feljeton 19.00 Teatr „Wyobraźni: „Plotka", wesoła sielanka radjowa 19.30 „Perpetum mobile" — koncert 21.00 „Nasze pieśni 21.30 Recital organowy Feliksa Nowowiejskiego 22.15 „Mozaika muzyczna" (płyty własne nagranie P. R.) 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 28 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Koncert z udziałem Fritza Kreislera (płyty) 16.00 „Głosy przyrody" — koncert. 16.45 Reportaż z Polesia: „Gospodarka rybna" 17.00 Koncert solistów 19.00 Wiązanka melodyj filmowych 21.00 Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej 2.215 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 29 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Trio Polskiego Radja 14.30 Koncert muzyki rozrywkowej 15.40 Wiadomości gospodarcze 15.45 „Zabawa w koncert" — audycja dla dzieci 16.00 Utwory na fortepian 16.30 Koncert Chóru Kolejowego Przysposobienia Wojskowego 16.45 „Parę godzin w Rydze" — reportaż 17.00 Koncert 17.50 „Kościoły drewniane na Śląsku" — pogadanka 19.00 Koncert ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Recital wiolonczelowy Tadeusza Kowalskiego 21.30 „Czepiec, gąsle i podwika" — audycja z Wilna 22.15 Koncert rozrywkowy 23.30 Muzyka taneczna.

„Alfred Robber?“ zawołały Elżutka i Anielcia, „oh, już ten sam fakt zgubi doktora Morizano“.

Urzędnicy zzwrócili się ku schodom i weszli na pierwsze piętro.

Stary Pifferon wskazał dyrektorowi drzwi, które prowadziły do mieszkania doktora.

„Kto tam?“ zapytał jakiś ponury głos, gdy szef policji zapukał na wskazane drzwi.

„Proszę otworzyć. Przyjechałem z Edynburga w jednej sprawie“.

Po chwili otwarły się drzwi, a Morizano na widok skierowanych rewolwerów zapytał zdziwionym głosem:

„Co to znaczy? Kto pan jesteś? Co robią tutaj ci ludzie?“

„Zaraz się pan dowie,“ zawołał wysoki urzędnik. „Jestem szefem londyńskiej policji i muszę zrewidować pański zakład!“

„Proszę do kancelarji,“ odparł spokojnie doktor Morizano.

„Proszę niech pan siada,“ dodał po chwili Morizano. „Czem mogę służyć?“

„W tym domu więzi pan przemocą hrabiego Kazimierza Zamskiego,“ odparł poważnie szef londyńskiej policji.

„Kto taki?“ zapytał doktor Morizano. „Jak się nazywa?“

„Hrabia Kazimierz Zamski!“ powtórzył ostro dyrektor.

Anielcia nie mogła się powstrzymać i zawołała:

„W takim razie może pan sobie przypomni moją osobę?“

„Nie znam pani!“ odparł Morizano drżącym głosem. „Przyszła pani z dyrektorem policji?“

„Tak jest“, potwierdził wysoki urzędnik. „Ta kartka, napisana przez hrabiego Zamskiego wyjaśni panu cel mojej wizyty!“

„Powtarzam jeszcze raz, że nie znam tego pana,“ zawołał Morizano, rzucając okiem na ową złowrogą kartkę.

„Zobaczymy!“ rzekł spokojnie szef policji. „Gdzie się znajduje pański wspólnik?“

„Mój wspólnik?“ zawołał Morizano.

„Tak jest, Alfred Robber, znany zbrodniarz!“

„Alfred Robber był służącym w moim zakładzie,“ odparł pospiesznie Morizano, „lecz właśnie wczoraj odprawiłem go ze służby.“

„Czy to prawda?“ zawołał szef policji, zwracając się do starego Pifferona.

„Pan dyrektor źle mię przedtem zrozumiał. Ten Alfred Robber był rzeczywiście służącym pana dyrektora,“ odparł grabarz pod wpływem groźnego wzroku Morizano.

„Więc chodźmy! Przedewszystkiem zrobimy rewizję!“

Przeszukano cały dom, lecz nigdzie nie zobaczono hrabiego Zamskiego.

Szef policji powrócił z widoczną niechęcią do biura doktora i rozpoczął znowu przesłuchanie — niestety napróżno.

„Zdaje mi się,“ rzekł Morizano że źle ukrytem szyderstwem, „że pan dyrektor padł ofiarą jakiegoś niesmacznego żartu! Kto wie, czyje to pismo!“

„To jego pismo!“ odparła stanowczo Elżutka. „Widocznie pan doktor dowiedział się o grożącem niebezpieczeństwie i usunął biedną ofiarę! Lecz przypuśćmy nawet, że to nie jego pismo. W takim razie w jaki sposób dostał się do pańskiego zakładu ten zegarek, który bez wątpienia jest własnością hrabiego Kazimierza Zamskiego?

„Panie dyrektorze, proszę porównać herb i monogram!“

Urzędnik wziął zegarek do ręki i oglądał go uważnie...

„Można także przypuścić, że hrabia został napadnięty i obrabowany,“ zauważył szef policji.

„To jest wykluczone!“ zawołała Elżutka. „Obstaję przy mojem zdaniu, że ten łotr wie, gdzie się podział hrabia Zamski.“

„Nie zauważyliśmy nic podejrzanego,“ rzekł dyrektor policji, „lecz miej się pan na baczności. Od dzisiaj znajduje się pan pod nadzorem policji.“

Po chwili urzędnicy i obydwie przyjaciółki opuściły „zamek szczurów“.

Morizano przyskoczył do starego Pifferona i zawołał groźnie:

„Dlaczego wspomniałeś bałwanie o Alfredzie Roberze, i nie dałeś mi znaku?“

„Panie doktorze,“ szeptał wystraszony Pifferon, — „wszystko stało się tak prędko, że —

„Dobrze, — dobrze. Całe szczęście, że mi się udało ukryć Robbera.“

Morizano udał się następnie do swojej kancelarji i otworzył duży, stojący zegar, — z którego wyskoczył Alfred Robber.

„Słyszałeś“? zzapytał Morizano.

„Tak jest, — czekaj chwilę, — zanim przyjdę znowu do równowagi. Ze strachu trzęsą mi się jeszcze kolana. Musimy uciekać. i to jak najprędzej!“

„Masz rację!“ Może nasi zbiegowie osiągnęli szczęśliwie stały ląd, a w takim razie będzie lepiej, jak się ukryjemy gdzieś w pewnem miejscu!“

„Chcesz wyjechać z Londynu?“

„O nie; zostaniemy w Londynie i ukryjemy się w White Chapel.“

„Wyśmienicie!“ zawołał Alfred Robber. „Lecz na pożegnanie damy małą ucztę dla Pifferenów, — a potem, — rizano i podał rękę swojemu wspólni-

„Ależ naturalnie,“ odparł doktor Morizano i podał rękę swojemu wspólnikowi.

— — — — — — —

Tej samej nocy powstał w Londynie olbrzymi pożar.

„Zamek szczurów“ płonie!“ biegła wiadomość po olbrzymiem mieście i zewsząd zdążali ludzie, by się przypatrzyć temu niezwykłemu widokowi.

Gdy płomienie objęły cały budynek, nagle na drugiem piętrze pokazały się straszne, dziwne postacie. Byli to nieszczęśliwi warjaci, którym groziło spalenie.

Straż ogniowa pracowała bez przestanku, lecz ogień pomimo tego przybierał coraz większe rozmiary.

Po chwili wydobyto pierwsze zwęglone zwłoki, a po godzinie naliczono czterdzieści spalonych trupów.

Ani jedna żywa dusza nie wpadła w ręce odważnej straży ogniowej.

Nagle wydobyto zwłoki wysokiego mężczyzny. — Z papierów, znalezionych w kieszeni, przekonano się, że to był doktor Morizano.

Nazajutrz czytano we wszystkich dziennikach o strasznym pożarze, którego ofiarą padł właściciel zakładu dla obłąkanych i jego pacjenci.

Wszyscy ubolewali nad straszną śmiercią doktora Morizano, ponieważ nikt nie znał jego przeszłości.

CLXXXIII.

Muzykanci z ulicy

Do kogo należał balon? Kto był właścicielem tego napowietrznego okrętu? Komu zawdzięczali swój niespodziewany ratunek?



W konkurencji pływackiej pań (200 m) zdobyła pierwsze miejsce Japonka Maychata, którą widzimy na zdjęciu w towarzystwie dwu następnych zwycięzczyń: Dunki Sörenien i Niemki Geneiger.

Zanim odpowiemy szanownym czytelnikom na te pytania, musimy się cofnąć z naszem opowiadaniem o kilka tygodni do kolumny Nelsona, która się wznosi przy Trafalgar Square, jako dowód hołdu Anglików dla swojego nieśmiertelnego bohatera i zwycięzcy z pod Trafalgar.

Noc zapadła już dawno nad miljonowem miastem, a promienie księżyca przebijały się z trudem przez grubą oponę mgły, która zawisła nad stolicą Anglji.

Pod kolumną Nelsona stała kobieta, która swoją urodą zwracała na siebie uwagę przechodzących mężczyzn. Lecz jej dumny, pogardliwy wzrok trzymał na wodzy namiętność wielkomiejskich natrętów.

Piękna kobieta czekała już przeszło pół godziny.

„Teraz powinien nadejść!" szepnęła. „Oh, ojcze, — ojcze, — nie opuszczaj twojego dziecka, — liczyłam na ciebie, — ojcze, — potrzebuję pomocy, — przecież nie opuścisz twojej Loli?"

Wiemy, że Lola czekała na swojego ojca Edwina Listera.

Nazajutrz, po owej scenie w hotelu, przeczytała w gazetach swój dokładny rysopis i wiadomość, że niemieckie władze poszukują Lolę w Londynie.

Zimny pot wystąpił jej na czoło. Teraz poznała dopiero swoją bezradność i całe niebezpieczeństwo.

Na pół godziny przed oznaczoną godziną przyszła pod kolumnę Nelsona i czekała niecierpliwie na swojego ojca.

Właśnie biła dwunasta godzina, — teraz musi nadejść.

I rzeczywiście, — zegar nie wybił jeszcze ostatniej godziny, gdy nagle z bocznej ulicy wyszła ciemna postać i zbliżała się wolno do kolumny Nelsona.

Lola czekała z bijącem sercem. — Nieznajomy zatrzymał się a po chwili skierował swoje kroki do bocznej ulicy.

Teraz zrozumiała Lola, że nieznajomy nie chciał się do niej zbliżyć na Trafalgar-Square.

Lola opuściła dotychczasowe stanowisko i szła za swoim przewodnikiem.



Oficer jednego z pułków angielskich, przeniesiony do Indyj, nie zapomniał o swoich towarzyszach broni i ofiarował im ostatnio piękną skórę tygrysa. Skórę tę będzie obecnie nosił podczas parad pułkowych najwyższy tamburzysta — (nasze zdjęcie).



Z nazwiskiem Boccaccio spotkać się można często w literaturze. Obecnie zawędrował autor „Dekamerona" na film dzięki niemieckiej wytwórni filmowej „Ufa". Na zdjęciu scena z nowego filmu, który otrzymał tytuł „Boccaccio".

Po chwili nieznajomy zatrzymał się przy rozpoczętej budowli i znikł za rusztowaniem.

Lola po krótkim namyśle weszła do środka i zaraz koło wejścia zauważyła drabinę, prowadzącą na górę.

„Lolu, — Lolu!" wołał jakiś głos z pierwszego piętra, — „chodź, — twój ojciec czeka na ciebie!"

Lola powstrzymała z trudnością radosny okrzyk i wskoczyła na drabinę.

Na piętrze pochwycił ją w ramiona nieznajomy i przycisnął do serca; — był to Edwin Lister, detektyw, a właściwie Satanelli.

„Chwała Bogu, że cię znowu widzę, moje drogie dziecko", zawołał Edwin Lister, „obecnie znajdujemy się w bezpiecznem miejscu. Boże, coś ty zrobiła?"

„Ach, mój ojcze, gdybyś wiedział..."

„Cicho, wiem o wszystkiem! Byłem właśnie w Belgji, gdy się dowiedziałem o twojem zaaresztowaniu. Później byłem zmuszony pojechać do Holandji. Stało się! — Nie myślę wcale robić ci zarzutów, jednak byłoby lepiej, gdybyś się była opanowała i nie popełniła tej zbrodni."

„Ojcze, nie mówmy o tem", odparła niechętnie Lola. „Jeżeli mię opuścisz, to skoczę do Tamizy. Zbrzydło mi już życie i czasem pragnę, bym się dostała w ręce policji."

Satanelli kochał swoje dziecko całem sercem i to uczucie było jedynym, jasnym promieniem w jego ponurym charakterze.

Odkąd przypadek zdradził mu, że Lola jest jego córką, nie przestał nigdy myśleć o niej.

„Lolu, odpędź te czarne myśli; nie oskarżam cię wcale. Zresztą nie potrzeba posiadać zbyt wielkiego talentu kombinacyjnego, by odgadnąć całe zajście.

„Nieprawda, — Arabella groziła ci odkryciem, jeżeli dobrowolnie nie opuścisz Kazimierza?"

„Tak jest, mój ojcze", zawołała Lola. „Podeptałam naturalnie uczucia i postanowiłam ją zgładzić."

„Więc wrzuciłaś ją do Warty? Następnie osadzono cię w kolońskiem więzieniu? W jaki sposób uciekłaś z więzienia?"

Lola opowiedziała ojcu wszystkie zdarzenia i całą ucieczkę. Wreszcie skreśliła zdarzenia ostatniej nocy.

„To był bardzo nierozważny krok", rzekł Satanelli, żeś opuściła Alberta!"

„Proszę cię, nie pytaj o powody!"

„Nie mogłam już dłużej wytrzymać", odparła ciemnowłosa, urocza kobieta.

„Ach, rozumiem! Był ci niesympatyczny, twoje serce należy do innego?" tyczny, — twoje serce należy do innego?"

„Tak jest, mój ojcze, — kocham — oh, kocham duszą i ciałem hrabiego Kazimierza Zamskiego."

Satanelli zamyślił się i ściągnął groźnie brwi.

„Muszę ci otwarcie wyznać, drogie dziecko", rzekł po chwili, „że się znajdujesz w niebezpiecznem położeniu. Niemieckie władze wysłały za tobą gończe listy, a detektywi szukają cię już w Londynie. Dlatego też musimy rozważyć każdy krok, byśmy się nie zdradzili!"

„Ojcze, jedźmy do Paryża!" zawołała Lola. „Weź mię ze sobą, — ja tutaj nie zostanę!"

„Do Paryża? Co za myśl! Tam by cię natychmiast złapano."

„Więc uciekajmy do Ameryki!"

„Nie wiesz o tem, że wszystkie porty stoją pod ścisłym, policyjnym nadzorem? Obecnie pozostaniemy w samym Londynie, a ty, droga córko, musisz ponadto wdziać męskie suknie. Z miasta nie możemy uciekać, ponieważ uciekać, ponieważ na każdym dworcu stoją detektywi i obserwują uważnie pasażerów!"

„Niech i tak będzie, — zresztą mam pieniądze i mogę cierpliwie czekać", odparła Lola.

„O pieniądze mniejsza“, rzekł Edwin Lister, „najważniejsze rzeczy przyniosłem w tej paczce: suknie, perukę, fałszywą brodę i fałszywe papiery, które są wystawione na starego Satanellego i jego córkę Gabrielę. Te papiery były niegdyś własnością mojego ojca, — a my będziemy chodzić po ulicy jako włoscy muzykanci. Nikt nie przypuści, że siwy mężczyzna ze skrzypcami jest detektywem Listerem, a kobieta, grająca na katarynce, matkobójczynią — Lolą!“

„Prędko, przebieraj się“, zawołał Satanelli, wyjmując z paczki suknie i różne przybory.

Lola wdziała krótką spódniczkę, włoską wyszywaną sznurówkę i duże srebrne kolczyki.

Satanelli przemienił się zaś w starca, w którym nikt nie potrafiłby rozpoznać słynnego detektywa.

„No, teraz nie potrzebujemy się obawiać policji“, zawołał Satanelli; „Lolu, ta katarynka będzie twoim instrumentem, a dla mnie zostaną skrzypce.“

W kwandrans później Edwin Lister zdążał ze swoją córką do osławionego przedmieścia Whiteshapel, w którym się ukrywają same wielkomiejskie męty.

Stary Włoch i jego córka wzbudzali ogólny podziw na ulicach dzielnicy Whiteshapel.

„Widzisz“, wołali przechodnie, „nowy towar!“

„Do djabła, ta dziewczyna zawraca mi głowę“, dodał jakiś robotnik i chciał objąć Lolę w swoje brudne ramiona.

„Maledetto diavolo“, syknął nagle stary, siwy Włoch, „precz, psi synu, albo cię przebiję tym sztletem.“

„Haha, nie zaczepiaj Włochów“, śmiali się mężczyźni.

Satanelli szedł tymczasem dalej i wstąpił do restauracji pod „złotą kotwicą“.

„Graj“, szepnął starzec do swojej towarzyszki i równocześnie pociągnął smyczkiem po strunach.

Słuchacze Satanellego pochodzili z najniższych sfer, lecz pomimo tego słoneczne dźwięki neapolitańskich pieśni nie pozostały bez wrażenia.

Zwłaszcza po drugim kawałku, w którym Lola zaśpiewała miłosny duet, zerwała się burza oklasków.

„Idź i zbieraj“, rzekł Satanelli do swojej córki.

Równocześnie podał jej talerzyk, a Lola szła od stołu do stołu i zbierała małe i duże monety.

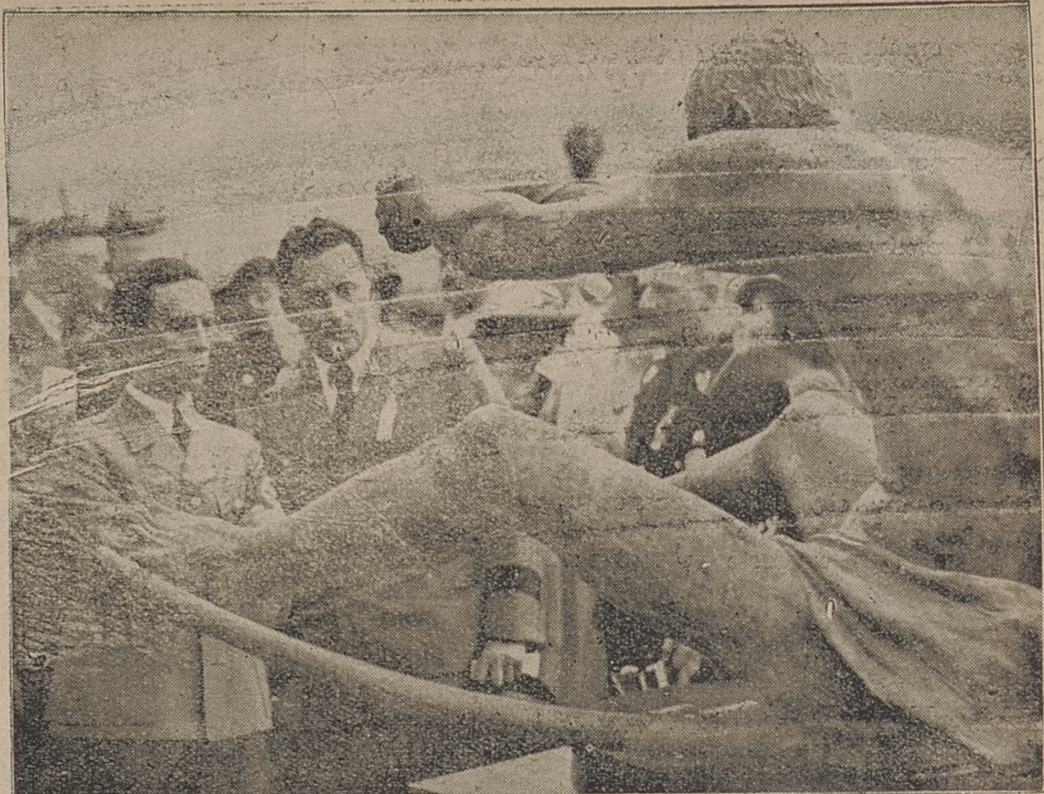
Po skończonym koncercie właściciel restauracji skinął na starego Włocha i zapytał go, czyby się nie zgodził na dawanie koncertów w jego lokalu.

„Ile mi dacie za każdą noc?“ zapytał Satanelli.

„Do djabła, wolne pomieszkanie na pierwszem piętrze i całe utrzymanie“, odparł gospodarz i uderzył pięścią w stół. „Pieniądze dostaniecie od moich gości!“

„Dobrze; lecz umowę zawieramy tylko na dwa tygodnie. Zobaczymy, jak pójdą interesa.“

„Zgoda“, zawołał uradowany gospodarz. „Teraz każę wam podać kolację, a potem oglądniecie mieszkanie.



Równocześnie z rozpoczęciem igrzysk olimpijskich odbyło się w Berlinie otwarcie wystawy sztuki sportowej. Otwarcie wystawy dokonał minister propagandy w Rzeszy dr. Göbbels, którego widzimy na zdjęciu (z lewej strony).

W godzinę później Edwin Lister i Lola spali snem sprawiedliwych w nowem mieszkaniu.

— — — — — —

Minęły trzy tygodnie od owej chwili. Władze poszukiwały ciągle za matkobójczynią, lecz nikomu nie przyszło na myśl, że urocza Włoszka, śpiewająca pod „złotą kotwicą“, jest właśnie ową poszukiwaną osobą.

Tymczasem sława pięknej Loli rosła z każdym dniem, a gospodarz robił złote interesa, ponieważ piękność włoskiej śpiewaczki wabiła tłumy wielbicieli.

Lecz właśnie ten rozgłos stał się zgubny dla Loli i spowodował nowe troski i obawy.

Jednego wieczora zaglądnął do restauracji pod „Złotą kotwicą“ młody, angielski arystokrata i zachwycony wdziękami ciemnowłosej śpiewaczki, postanowił zdobyć jej względy za każdą cenę.

Lecz Lola zachowywała się zupełnie obojętnie i nie zważała na jego spojrzenia, ani listy.

Młody lord chciał mieć przynajmniej jej fotografję i w tym celu kupił mały aparat, umieszczony w gałce laski.

Podczas wieczornej produkcji zrobił zdjęcie i dał je do powiększenia znajomemu fotografowi.

Dziwnym zbiegiem okoliczności ten sam fotograf pracował w policji i sporządzał fotografje zbrodniarzy i przestępców dla tajnych detektywów. Niedawno temu oddał policji cały stos podobizn Loli, poszukiwanej przez niemieckie władze i dlatego na pierwszy rzut oka rozpoznał w pięknej Włoszce zaginioną matkobójczynię.

„Czy to możebne?“ zawołał oglądając uważnie zdjęcie lorda; „nie, zanadto wielkie podobieństwo, — te same rysy. Muszę zawiadomić policję!“

Włożył obraz Loli do kieszeni i udał się do dyrekcji policji.

„Bezwątpienia!“ zawołał ucieszony urzędnik, gdy mu fotograf pokazał obraz Loli. „Ta Włoszka z Whiteshapel jest poszukiwaną matkobójczynią! Zaaresztujemy ją jeszcze dzisiaj wieczór.“

„Te fotografje zostaną u mnie, a nagrodę otrzyma pan w tych dniach.“

Zaledwie fotograf wrócił do domu, gdy lord wszedł do salonu i zawołał:

„Rozmyśliłem się, drogi przyjacielu. Proszę o zwrot tej małej fotografji.“

„Gdzie pan ma to zdjęcie?“ zapytał po chwili lord, widząc zakłopotanie fotografa. „Daję słowo, że odmówię panu wszystkich odbiorców, jeżeli mi pan nie powie prawdy.“

Fotografowi nie pozostało nic innego, jak wyznać całą prawdę.

„Jaką sumę wyznaczyła niemiecka władza na głowę morderczyni?“ zapytał lord.

„Jeżeli się nie mylę, to trzy tysiące marek“, odparł fotograf.

„Nieszczęśliwy człowieku, — byłbym ci dał dwadzieścia tysięcy za wyjawienie tej tajemnicy. Jeżeli mi pan dasz słowo honoru, że nie zdradzisz naszej rozmowy, to wręczę panu pięćset funtów szterlingów.“

„Ależ owszem, mylordzie“, odparł pospiesznie fotograf i schował do portfelu pięćset funtów.

Lord Edgar Aberdeen był nadzwyczaj porządnym i szlachetnym człowiekiem. — Wprawdzie gardził zbrodniarzami, lecz z drugiej strony nie mógł się pogodzić z tą myślą, by owa urocza kobieta zakończyła życie w więzieniu, albo na rusztowaniu.

Edgar Aberdeen wsiadł do powozu i kazał się zawieźć do Whiteshapel.

Teraz Lola musi go wysłuchać, ponieważ przynosił jej nieoceniony dar, — życie.

„Wygrał pan może na loterji“, zawołał gospodarz pod „Złotą kotwicą“, zobaczywszy wchodzącego lorda, — który

dotychczas chodził do tej restauracji w przebraniu robotnika.

„Muszę pomówić z Gabryelą“, odparł lord, nie zważając wcale na uwagę gospodarza. „Za fatygę dostanie pan pięć funtów szterlingów.“

„Niestety nie mogę teraz spełnić pańskiego życzenia, a to z tego prostego powodu, ponieważ muzykanci chodzą we dnie po domach i grają na podwórzach.

Lord zamyślił się, a po chwili pozdrowił gospodarza i wsiadł do powozu.

Aberdeen postanowił jeździć po różnych ulicach, — liczył bowiem na szczęśliwy przypadek, że może spotka gdzie Gabrjelę.

Słońce już dawno zaszło, gdy nagle zdawało mu się, że w bocznej ulicy odezwały się znajome głosy.

„To oni, — wreszcie ją znalazłem!“ zawołał młody lord.

Kazał zatrzymać powóz i wyskoczył na ulicę. Zaraz w pierwszej ulicy zobaczył starca i piękną Włoszkę. — —

— — — — — —

„Czekajcie na mnie w restauracji tam na rogu“, — szepnął młody lord, przechodząc koło muzykantów, „powiem wam ważną nowinę.“

„Avanti, — precz z drogi! Maladetto diavolo, — nie znam pana.“

Chciał iść dalej, lecz Lola chwyciła go za rękę.

Aberdeen zbliżył się znowu do muzykantów i zawołał:

„Zaklinam was na wszystko; przyjdźcie do tej restauracji. Życie waszej córki wisi na włosku!“

„Do djabła, — poco się pan miesza w nie swoje rzeczy. Czytałem list, który pan wręczył mojej córce i dlatego oświadczam, że Gabrjela nie zostanie nigdy pańską kochanką.“

Lord Aberdeen stłumił gniew i oburzenie i zawołał wzburzonym głosem:

„Wiem wszystko. Policja londyńska otrzymała dzisiaj zawiadomienie, że wasza córka jest matkobójczynią, która uciekła z kolońskiego więzienia.“

„Człowieku, — co ty mówisz!“ zawołał wystraszony Satanelli. „Poznałeś naszą tajemnicę i dlatego musisz umrzeć!“

Lord Aberdeen byłby może przypłacił życiem swój szlachetny zamiar, gdyby nie Lola, która w samą porę powstrzymała rękę swojego ojca.

„Chcesz go zamordować, dlatego, że nas ostrzegł?“ zawołała piękna, ciemnowłosa kobieta. „Ten pan nas nie zdradzi!“

„Tak jest“, odparł lord Aberdeen. „Szukałem was przez cały dzień. Nie traćcie czasu i zaufajcie mi!“

„Niech się pan nie gniewa“, szepnął Satanelli, — „myślałem, że nas pan szpieguje. Więc do zobaczenia w tej restauracji na rogu!“

Po chwili całe towarzystwo spotkało się na umówionem miejscu.

„Nazywam się lord Edgard Aberdeen“, przemówił młody arystokrata. „Londyńska policja dowiedziała się, że wasza córka bawi w Whiteshapel. Dzisiaj wieczór mają was zaaresztować. Uciekajcie więc z tego miasta. Jeżeli nie macie środków, to uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy!“

„Do djabła“, odparł Satanelli, „z Londynu nie możemy uciekać, bo wszystkie



Cudnie przedstawiają się wieczne lody i śnjegi na szczytach Mont-Blanc. Są one terenem licznych wycieczek. Jednak na każdym niemal kroku na niedoświadczonego turystę czeka tu śmierć. — Zwłaszcza ostatnio liczba śmiertelnych wypadków na Mont-Blanc silnie wzrosła.

drogi obsadziła zapewne policja. Może nas pan ukryć w swoim domu?“

„To niemożebne“, zawołał lord po krótkim namyśle, — „wszystko uczynię, nie żądajcie tylko, bym was wprowadził w dom, w którym mieszka mój dumny ojciec.“

„W takim razie wszystko jest stracone. Policja nie wypuści swojej zdobyczy, a trudno przypuścić, byśmy się mogli wznieść w powietrze, i —

„Czekaj pan“, zawołał lord Aberdeen stłumionym głosem. „Boże, — że mi ta myśl nie wpadła do głowy! Teraz jestem przekonany, że mi się uda was ocalić. — Opuście Londyn moim balonem.“

„Balonem?“ odparł z niedowierzaniem Satanelli. — „Mylordzie, — czy to możebne?“

„Tak jest. Od kilku lat zajmuję się aeronautyką i posiadam balon, gotowy każdej godziny do wzlotu. — W gondoli znajdują się zapasy, które nam wystarczą na cały tydzień.“

„Mylordzie“, przemówił wzruszony Satanelli, „nie zapomnę nigdy, żeś pan wyratował moją nieszczęśliwą córkę. Wobec pana zrzucę maskę; — nie jestem starcem, ani —“

„Nie traćmy czasu“, przerwał Aberdeen. — „Czas nagli; — chodźcie ze mną, — zaprowadzę was do mojego balonu! Tymczasem proszę zdjąć to przebranie, gdyż policja dowiedziała się, że pańska córka ukrywa się pod włoskiem przebraniem. Za chwilę przyniosę nowe ubrania.“

„Spiesz się pan“, odparł Satanelli, „oczekujemy pana z niecierpliwością!“

W pół godziny później powrócił lord z dużą paczką, w której były zapakowane potrzebne ubrania.

Kelner, otrzymawszy sowity napitek, wskazał Satanellemu małą izbę na pierwszem piętrze i zaniósł tam paczkę z ubraniami:

Lord kupił dla Listera żakietowe ubranie i czapkę, jaką używa się zwykle przy napowietrznej żegludze, a dla Loli odpowiednią, obcisłą suknię.

„Mylordzie, dziękuję panu“, zawołała Lola i podała mu po raz pierwszy rękę. „Przyjmuję tylko pod tym warunkiem pańską grzeczność, jeżeli pan nie będzie mną pogardzał!“

„Lolu!“ zawołał Aberdeen, „nie badaj motywów mojego postępowania. Tyle tylko mogę powiedzieć, że wszystko co czynię dla pani, pochodzi z głębi duszy i serca.

„Nie jestem sędzią, — nie pytam panią o przeszłość, — i nie potępiam. Przykro mi tylko, że nie mogę cię nazwać moją żoną. Jeżeli pani kiedy będzie potrzebowała przyjaciela, to proszę przypomnieć sobie lorda Edgarda Aberdeen.“

Młody mężczyzna przyłożył do ust rękę pięknej, ciemnowłosej kobiety i przemówił głośno:

„Chodźmy!“

Przed drzwiami czekał powóz, do którego wsiadły trzy osoby.

Po godzinnej, szybkiej jeździe zatrzymał się powóz przy małem zabudowaniu, należącem do lorda Aberdeen.

Na łące przed domem wznosił się balon, przymocowany linami do kołków wbitych w ziemię.

Wszystko było gotowe; niczego nie brakowało. Satanelli przekonał się jednym rzutem oka, że w gondoli mieściły się zapasy, które wystarczą przynajmniej na cały tydzień.

„Jak się podoba pani ten rumak, który uniesie was w powietrze?" zapytał młody lord.

„Oh, zobaczy pani cuda! Trudno wyrazić tę rozkosz, gdy człowiek wzniesie się na tysiąc metrów w powietrze i spojrzy na ziemię!"

„Dlaczego pan nie jedzie z nami?" rzekła Lola.

„Nie mogę tego uczynić", odparł młody arystokrata po krótkim namyśle. „Honor mojego nazwiska nie pozwala mi na to."

Tymczasem na rozkaz lorda służba podała kolację i całe towarzystwo udało się do jadalni.

„Piję na pomyślność waszej ucieczki", zawołał lord, wznosząc szklankę w górę. „Dajcie mi znać, gdy będziecie w bezpiecznem miejscu!"

O dziewiątej godzinie skończyła się kolacja. Satanelli i Lola podziękowali jeszcze raz gospodarzowi za trudy i wyszli na łąkę, gdzie koło balonu krzątało się kilku robotników.

Po chwili ojciec i córka wsiedli do gondoli. Lord udzielał jeszcze Satanellemu uwagi, dotyczące manipulacji z balonem, oglądnął uważnie wentyle i balast i wreszcie zawołał:

„Gotów, — przeciąć liny!"

Robotnicy na znak lorda przecięli liny, a balon — wzniósł się wysoko w powietrze.

Aberdeen stał jak skamieniały i ścigał oczyma niknący balon, który zmniejszał się z każdą chwilą.

Wreszcie westchnął głęboko i wszedł do pokoju.

„Widzisz, mój ojcze", mówiła wesoło Lola, „tam na dole szukają nas detektywi po wszystkich zaułkach — w Whiteshapel."

„Uniknęłaś cudem niebezpieczeństwa", odparł Satanelli. „Zaiste miłość nie zna granic i zwycięża wszystkie przeszkody."

„Czy to morze?" zawołała Lola, wskazując ręką na jasny pas.

„Nie, to Tamiza," pouczył ją Satanelli; „jeżeli jednak wiatr się nie zmieni, to balon zawiśnie wkrótce nad morzem."

„O ojcze, — boję się morza!"

„W gruncie rzeczy wszystko jedno, gdzie jesteśmy! Nad morzem, czy też nad ziemią", odparł Satanelli."

„A gdzie wylądujemy, — jak myślisz, ojcze?"

„Prawdopodobnie we Francji!"

Nagle zmniejszył się wiatr, a balon zbliżał się do jakiegoś domu, stojącego nad brzegiem Tamizy.

„Ojcze", zawołała Lola, „patrz na ten dach; widzisz?"

„Ha, tam stoją ludzie," brzmiała odpowiedź. „Ludzie, czy zwierzęta? Nie, to ludzie. Co robią w nocy na dachu? Może złodzieje, którzy w ten sposób chcą się dostać do domu!"

„Ojcze, tracę zmysły!" krzyczała Lola. „Nie, to niemożebne. Boże, — to on, — on!"



Walki, jakie od kilku tygodni trwają w Hiszpanji, odznaczają się okrucieństwem i bezwzględnością, która cechuje przedewszystkiem wojska rządowe. Na zdjęciu widzimy wnętrze jednego ze zburzonych przez wojska rządowe kościołów.

W tej samej sekundzie Lola upadła ojcu do nóg i objęła jego kolana.

„Ojcze, — ojcze," błagała Lola, „weź go do gondoli. Ojcze, tam stoi Kazimierz Zamski!"

„Dobrze," odparł Sataneli, — niech i tak będzie, spełnię twoje życzenie. Za chwilę balon uderzy o rynę, — schowaj się, by cię nie zobaczyli!"

W pół minuty później Zygmunt Sokolski i Kazimierz znaleźli się w gondoli.

Lola rzuciła się na Kazimierza i zaczęła pokrywać jego twarz namiętnymi pocałunkami, podczas gdy Sataneli zwrócił całą uwagę na balon i wyrzucił balast.

Po chwili napowietrzny okręt wzniósł się znowu wysoko w powietrze. Silny wiatr pędził go teraz w stronę oceanu.

Sataneli był zupełnie bezsilny i niemógł zmienić kierunku. Spodziewał się tylko, że balon przeleci szczęśliwie nad kanałem i zawiśnie nad francuską ziemią.

Satanelli nie rozpoznał towarzysza Kazimierza i nie przeczuwał, że ten wychudły człowiek jest Zygmuntem Sokolskim, którego umieścił niegdyś w zakładzie doktora Morizano.

CLXXXIV

Ponad wodami

Zygmunt Sokolski leżał bez zmysłów na dnie gondoli...

Kazimierz posiadał silniejszą naturę i odzyskał wkrótce przytomność.

Jego wzrok padł z niedowierzeniem na twarz kobiety, która klęczała obok niego.

Kazimierz wsparł się po chwili na ręce, spojrzał jeszcze raz na Lolę i szepnął:

„Oh, co za straszny sen!"

Lola milczała; tylko jej oczy mówiły wyraźnie i spoczywały bojaźliwie na twarzy ukochanego mężczyzny.

„Boże, gdzie jestem?" zawołał Kazimierz, „ach, — teraz przypominam sobie, żeśmy uciekli z domu obłąkanych! Zygmuncie, gdzie jesteś? Zygmuncie, — ja widzę znowu demona mojego życia, tę podłą kobietę, która spełniła straszną zbrodnię! — Zygmuncie, zlituj się, — powiedz mi, czym nie stracił zmysłów. — Co widzę? — Mój przyjaciel leży bez życia?

„Nie, to niemożebne! — Może, te oczy, — ta piękna postać, — gdzie jestem, — co się stało ze mną?"

„Jesteś przy mnie!" zawołała Lola wesołym głosem, który obił się głucho o duszę młodego hrabiego.

„Przy tobie? O nieba! — Wolałbym się znaleźć — w piekle!"

„Los połączył nas znowu," mówiła Lola. „Obecnie znajdujesz się w balonie, który leci nad morzem. Nie bój się Kazimierzu! Przysięgam, że nic złego ci się nie stanie."

„Jesteśmy sami?" zawołał Kazimierz. „W tej gondoli znajduje się jeszcze inna osoba?"

„Tak jest!" odparł Satanelli, zbliżając się do Kazimierza; „poznaje mnie pan hrabia?"

Kazimierz wzdrygnął się, jakby zobaczył przed sobą jadowitego węża.

„Niestety, poznaję cię. Nazywasz się Edwin Lister i ukrywasz się pod maską porządnego człowieka. Pokryjomu jesteś jednak łotrem i wspólnikiem przeklętego doktora Morizano!"

„Nikt nie ma prawa pociągnąć mnie do odpowiedzialności," odparł dumnie Satanelli. „Hrabio Zamski, mówię w tej chwili do pana jako przyjaciel. Ta piękna, młoda kobieta, twoja żona, — jest moją córką!"

„Ah, twoją córką?"

„Tak jest. Obecnie jesteś w mojej mocy, — lecz uważam cię za przyjaciela, — i dlatego bądź pozdrowion!"

Sataneli wyciągnął do Kazimierza obydwie ręce. — Młody hrabia obrzucił go jednak pogardliwem spojrzeniem i zawołał:

„Nie mogę podać ręki zbrodniarzowi. Teraz pojmuję przewrotność Loli, gdyż twoja krew płynie w jej żyłach.

„Kochany hrabio," odparł obojętnie Satanelli, „każdy z nas ma swoje zasady i zdania, — dlatego nie mówmy o tem. — Lola kocha cię całem sercem! Kazimierzu, nie wzrusza cię jej miłość i wierność? Dam ci duży posag, — żyjcie tylko szczęśliwie i zapomnijcie o przeszłości. — Zostań mężem Loli a przysięgam, że nie będziesz żałował tego kroku."

„Listerze, doprawdy brak mi słów, bym ci mógł odpowiedzieć na tę propozycję," zawołał Kazimierz i spojrzał pogardliwie na swojego wroga.

„Rozważ, panie hrabio, że nam jesteś zobowiązany do wdzięczności za ratunek," zauważył głucho Satanelli.

Równocześnie Zygmunt odzyskał przytomność powiódł dokoła zdumionem okiem.

Satanelli napawał się jego zdumieniem i zawołał ironicznie:

„Bez mojego pozwolenia nie opuści pan hrabia Sokolski tego balonu."

„Zapominasz, nędzniku," odparł Zygmunt, „że sam znajdujeszz się w rękach Boga. Kto wie, czy piorun nie rozerwie balonu, a wtedy przypłacisz śmiercią za wszystkie twoje grzechy!"

Jakby na potwierdzenie słów Zygmunta, zaciemniło się nagle niebo. Na widnokręgu zawisły chmury, — zwiastuny bliskiej burzy.

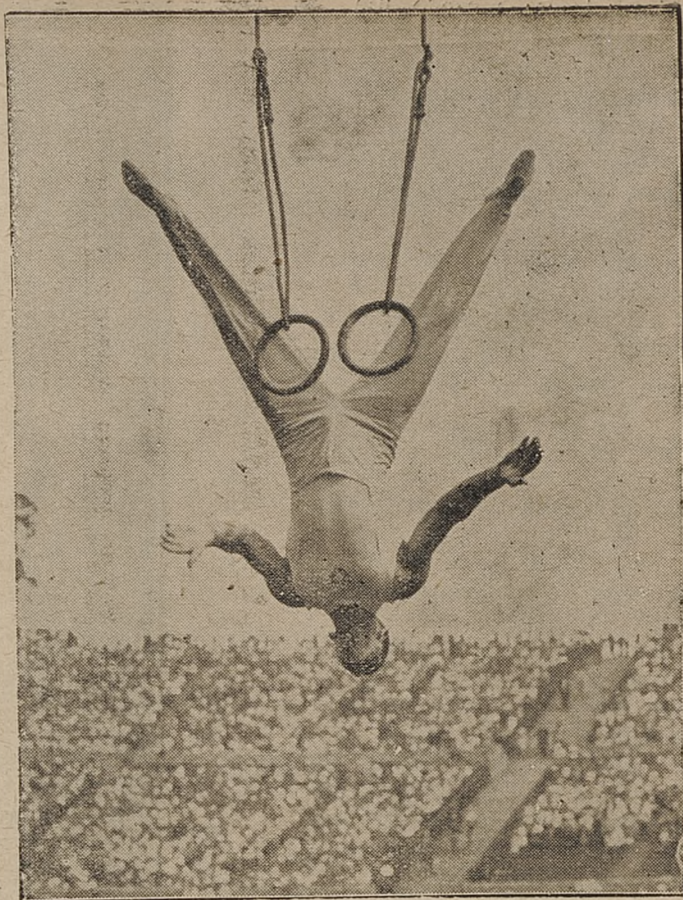
Satanelli przerwał rozmowę i zwrócił całą uwagę na balon i na kierunek wiatru.

Burza zbliżyła się z szaloną szybkością. W przeciągu pięciu minut całe niebo pokryło się czarnemi chmurami.

Nagle zerwał się wicher, a oślepiająca błyskawica przecięła powietrze.

Łódka, w której znajdowali się napowietrzni żeglarze, tańczyła jak piłka za każdym silniejszym podmuchem wiatru.

Z powodu silnego parcia atmosfery balon zbliżał się coraz bardziej do morza.



W ćwiczeniach wolnych zdobył złoty medal olim-pijski Szwajcar Jerzy Mier przed swoim rodakiem Waltkarem i Niemcem Freyem.

Satanelli spoglądał ponuro w ciemną otchłań i przeklinał w tej chwili pomysł lorda Aberdeena.

Burza szalała teraz z niebywałą potęgą. Gondola napełniła się do połowy wodą, a na powierzchni żeglarze zaczęli wylewać rękami wodę.

Nagle z ust Satanellego wydobył się okrzyk zgrozy.

„Gaz uchodzi, — prawdopodobnie balon został przedziurawiony."

Balon wznosił się jeszcze na jakie dwieście metrów ponad wodą. Jeden tylko środek mógł przedłużyć katastrofę, t.j. trzeba było wyrzucić balast.

Po chwili wyrzucono worki napełnione piaskiem, a balon wzniósł się znowu w powietrze. Lecz polepszenie sytuacji nie trwało długo, gdyż w kilka minut później balon opadł znowu.

Satanelli w bezsilnej rozpaczy wyrzucił do morza zapasy żywności, naczynia i przybory.

Tymczasem ucichła burza, tylko spienione morze uderzało strasznemi falami o łódkę.

„Wyrzućcie ławki," rozkazał Satanelli. — „Musimy uwolnić balon z niepotrzebnego balastu."

Balon znajdował się już tak nisko morza, że łódka zanurzała się w wodę. Katastrofa była nieunikniona.

„Pozostaje jeszcze jeden środek," wybełkotał Satanelli, „odwiążemy gondolę i umieścimy się między linami."

„Dalej, chwytajcie za liny," rozkazał Satanelli, gdy odwiązano łódkę.

Zygmunt i Kazimierz wspinali się odważnie w górę i wkrótce każdy z trzech mężczyzn osięgnął stały punkt oparcia. Lola usiadła na jednej poprzecznej linie.

Satanelli przeciął teraz sznury, które łączyły balon z łódką. Nagle spadła gondola i zniknęła w spienionych falach.

Położenie nieszczęśliwych rozbitków było straszne. Żeglowali między morzem a niebem i trzymali się za liny, jak akrobaci w cyrku.

Balon pędził ciągle nad powierzchnią morza; dokoła nigdzie nie było widać pomocy, ani brzegów ziemi, — wszędzie tylko woda i woda.

„Oby się zjawił jaki okręt!" westchnął Satanelli i spojrzał na Lolę, która równocześnie wyciągnęła rękę i zawołała stłumionym głosem:

„Tam, patrz, — no, — ptak!"

Była to mewa, — znak, że w pobliżu znajduje się ziemia.

„Widzicie ten czarny punkt, wystający z morza," zawołał po chwili Zygmunt, obserwując uważnie lot mewy; „to są skały!"

I rzeczywiście z każdą sekundą zwiększała się owa skała, tak, że nasi żeglarze mogli teraz dokładnie rozróżnić jej zarysy.

Niestety, gaz uchodził ciągle z balonu. Nagle balon zakołysał się i w tej samej chwili leżał już na falach.

Z ust nieszczęśliwych żeglarzy wydobył się okrzyk zgrozy i przerażenia.

„Pływajcie!" zawołał Satanelli. „O, moja biedna córko!"

Satanelli objął Lolę i zaczął walczyć rozpaczliwie z rozhukanymi żywiołami.

„Lolu, chwyć się za moje plecy, inaczej zginiemy marnie na dnie morza."

Lecz Lola, przejęta śmiertelną trwogą, nie słyszała tych słów i objęła ojca za szyję. Pragnęła żyć i bała się śmierci, gdy wtem potężna fala zalała piękną, grzeszną kobietę.

Lecz w tej samej chwili pochwyciła ją silna ręka i wyciągnęła na powierzchnię morza.

Był to Kazimierz, który podał jej swoją rękę. — Z pomocą Zygmunta udało mu się wydobyć Lolę od pewnej śmierci.

Kazimierz trzymał Lolę na plecach i płynął ciągle naprzód. Wreszcie poczuł grunt pod nogami i dał znak Zygmuntowi, by się zbliżył do niego.

Hrabia Sokolski zauważywszy ten szczęśliwy zbieg okoliczności, wdrapał się na wąską ścieżkę, prowadzącą na skałę.

Za nim szedł Kazimierz z bezprzytomną Lolą. Po chwili obydwaj weszli na szczyt skały i równocześnie z ich ust wydobył się okrzyk przerażenia, gdyż skała była otoczona dookoła morzem.

Z powodu zmierzchu usiedli na małej polance i postanowili czekać, dopóki promienie słońca nie rozproszą mgły, osiadłej na falach morza.

Tymczasem Zygmunt odkrył gniazdo z jajkami mewy i podzielił zdobycz ze swymi towarzyszami niedoli, nie pomijając wcale swojego wroga Edwina Listera.

Po chwili mężczyźni zasnęli twardem snem. Tylko Lola czuwała i spoglądała z zachwytem na ukochane rysy Kazimierza.

CLXXXV.

Szlachetni mężowie

Baronet Ralf Ravington siedział w swojej kancelarji i palił wonne, hawańskie cygaro.

Właśnie wszedł służący i zameldował, że adwokat Black chce z nim mówić.

„Proś," rozkazał baronet.

Po chwili wszedł adwokat z dużą paczką aktów.

„Panie baronecie," zawołał mecenas, „przynoszę pomyślną wiadomość."

„Przedewszystkiem niech pan siada i zapali cygaro! Dzisiaj dam panu najlepszą sortę. Cóż to za wiadomość? Może względem tego spadku?"

„Tak jest, panie baronecie! Sąd postanowił przyznać panu spadek Ravingtonów, ponieważ wszystkie poszukiwania za Elżbietą były bezskuteczne.

„Wyrok już zapadł, lecz dopiero za cztery tygodnie będzie prawomocny.

„Spodziewam się, że pan baronet nie zapomni o naszej umowie, którą zawarliśmy przed procesem? Przypomina pan sobie moją córkę — Maud?"

„Ależ naturalnie!" odparł pospiesznie Ravington, — „lecz —"

„Lecz pan baronet," przerwał adwokat, „zobowiązał się ożenić z moją córką w tym dniu, kiedy spadek przejdzie stanowczo na jego własność. — Tylko pod tym warunkiem zgodziłem się na objęcie procesu."

„Jestem panu nadzwyczaj zobowiązany," odparł baronet, „lecz przecież pan adwokat rozumie, że ja jako lord Ravington nie mogę się żenić z panną Maud! Dam panu pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów i na tem koniec."

„Pięćdziesiąt tysięcy?" zawołał adwokat. „Więc pan sądzi, że się zadowolnię tak śmiesznie małą sumą? — Mylisz się, drogi baronecie. W moich rękach znajdują się twoje weksle na dziesięć tysięcy funtów. — Więc strzeż się pan!"

„Ah, to wygląda na groźbę!"

„Tak jest!"

Ralf zbladł, położył rękę na piersi, a na jego ustach pojawił się dumny uśmiech.

„A jeżeli nie pozwolę sobie grozić? Co wtedy?"

„W takim razie znajdę drogi i sposoby do urzeczywistnienia moich gróźb!" zawołał Black. „Dzięki Bogu przejrzałem pańskie plany i jeszcze dzisiaj uwiadomię moją córkę, że lord Ravington stanie wkrótce przy jej drzwiach jako żebrak. Ta będzie dla niej dostatecznem zadośćuczynieniem!"

Black pozbierał papiery, spojrzał pogardliwie na swojego klienta i wyszedł z pokoju.

Ravington po wyjściu adwokata czuł pewne zaniepokojenie i po dłuższym namyśle postanowił pojechać do Whiteshapel.

Tam znajdę potrzebnych ludzi," szepnął do siebiea „Trudno, Maud zostanie sierotą."

Tymczasem adwokat Black zdążał do domu i wyrzucał sobie swoją łatwowierność, że zawierzył Ravingtonowi.

„Co powie Maud? Będzie niepocieszoną, ponieważ liczyła napewno, że zostanie żoną baroneta.

„Ach, nie wiem, cobym dał za to, gdyby teraz zjawiła się Elżbieta! — Łotrze, chciałeś mi dać pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów, — istną jałmużnę za moje trudy. Lecz sam zapłacę tę kwotę, jeżżeli mi kto wskaże, gdzie się znajduje Elżbieta!"

Rozmowę adwokata przerwało niespodziewane zdarzenie. Fiaker, w którym jechał mister Black, potrącił jakąś kobietę, która padła pod kopyta koni.

„Bodaj cię djabli wzięli!" zawołał wystraszony adwokat. „Kogo przejechałeś?"

„Młodą kobietę, panie mecenasie!"

„Błaźnie, pójdziesz teraz do więzienia!"

Adwokat wyskoczył z powozu i z pomocą kilku mężczyzn zaniósł ją do pobliskiej apteki.

Tutaj złożono nieznajomą na otomanie i zajęto się jej ratunkiem.

Mister Black spojrzał teraz na nieprzytomną kobietę i szepnął:

„Zdaje mi się, żem już gdzieś widział tę twarz! Czy to możebne?"

Tymczasem aptekarz zajął się ratunkiem przejechanej a po chwili z jej ust wydarły się urywane słowa:

„Tam, — przepaść, — Marceli, przebacz, — koniec, — pociąg, — dajcie mi kromkę chleba, — umieram z głodu."

— — — — —

W godzinę później polepszył się o tyle stan nieznajomej, że adwokat Black mógł ją zabrać ze sobą do swojego domu. Mister Black, nie uczynił tego wcale z poczucia miłości bliźniego, lecz postąpił tylko za radą aptekarza, który zupełnie słusznie zauważył, że nazajutrz wszystkie dzienniki londyńskie będą chwaliły, miłosierny uczynek adwokata.

Dom w którym mieszkał mister Black, leżał w samym środku londyńskiej City. Gospodarstwo prowadziła mu pani Field, starsza już osoba, która na widok nieznajomej chciała najpierw zaprotestować, lecz groźny wzrok pryncypała powstrzymał jej gadatliwość.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Jak pisać

Od 1 września b. r. obowiązywać będzie nowa pisownia języka polskiego ustalona na podstawie uchwał Polskiej Akademji Umiejętności i zatwierdzona przez Ministerstwo W. R. i O. P. Pisownia ta w niektórych wypadkach odbiega znacznie od dawnych zasad, wobec czego obowiązkiem każdego jest poznać wszelkie zmiany w nowej pisowni.

Z tego założenia wychodząc, zaprowadzamy, również w „M. Pow." kącik pod nazwą: „Jak pisać", w którym w miarę wolnego miejsca podawać będziemy wskazówki w sprawie nowej pisowni.

Największą bodaj zmianę zauważymy w pisaniu i wzgl. j.

Mianowicie po spółgłoskach c, s, z, pisze się j lub i:

j — gdy słyszymy cj, sj, zj (n. p. racja, pasja, Azja).

i — gdy słyszymy ć, ś, ź, (babcia, Basia, jezioro).

Wyjątki: Syjam, Syjon, cyjan i pochodne.

Po innych spółgłoskach pisze się stale i n. p.:

b — biały, subiekt, Arabia
p — piasek, kopia
w — wiara, relikwia
f — fiołek, parafia
m — mia to, chemia
n — liniować, Dania
d — diabeł, adiutant, radio
t — portiera, sympatia
r — kariera, historia, Marian
l — felietou, Anglia
g — regionalizm, religia
k — bank'er
h — hiena
ch — monarchia

Wyjątki: pisze się j po przedrostkach — nad, ob, od, pod, przed, w — n. p.: odjechać, objąć, objeść się, odjąć, wjazd — przez i jedynie obiad.

Można pisać: triumf i tryumf, Maria i Maryja.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Zagadka literowa
(pod. Ir. W.)

Pierwsza, druga — w garażu,
trzecia, czwarta — w bagażu,
piąta, szósta — w skrzyni,
Całość zgadnij, czytelniczku,
dodam, że jest bardzo znana.
Chcesz rozwiązać? szukaj aż do rana
— w literaturze.

Szarada
(uł. Ir. W.)

Pierwsze — drugie młynu dusza
i tartaki też porusza.
Czwarte — trzecie schronienie bezpieczne
a dla ziemniaków w zimie konieczna.
Trzecie — drugie gdy w środku
jest oczywista konieczne, gdy pranie.
Z drugie — trzecie kamienie się dobywa,
które do. brukowania zwykle się używa
Całe miasto w Polsce położone,
od wschodniej granicy niezbyt oddalone.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 28 sierpnia br.

Humor

Przyczyna

Józio Leniwiecki dostał wypowiedzenie w biurze. Otrzymawszy pismo, idzie do dyrektora:

— Panie dyrektorze, ja otrzymałem wypowiedzenie posady, ale dlaczego właściwie? — przecież ja nic nie zrobiłem?...

— Prawda — powiada dyrektor — istotnie zupełnie nic przez całe dwa lata.

Podstępny papa

Ojciec z kilkorgiem synów przychodzi do fotografa, który ma z nich zrobić tak zwaną „grupę". Tylu malców trudno jest odrazu uspokoić, więc papa wpada na pomysł i mówi:

— No, dzieci, macie tu każde po 20 groszy, tylko stójcie zupełnie spokojnie i zróbcie przyjemny wyraz twarzy.

Rozradowani malcy istotnie uciszają się i zdjęcie zostaje dokonane, wtedy dobry papa mówi:

— No, a teraz oddajcie dwudziestogroszówki.

Odkrycie

Dobry wujaszek pokazuje małemu Jasiowi zasady boksu, przyczem Jaś w zapale młóci wujaszka zapamiętale pięściami.

— No dobrze mój Jasiu, że masz taki zapęd, ale przecież to tylko zabawa, nie musisz być naprawdę tak grubiański, to mnie boli...

— O, — rzecze Jaś rozczarowanym głosem — a tatuś zawsze mówił, że ty masz taką grubą skórę!

Dwie potrzebne rzeczy

Mały chłopiec przychodzi do sklepu i prosi o kit i o olej.

— Można zapakować razem, prawda?

— O nie, proszę pana, proszę zapakować oddzielnie: olej jest dla tatusia do obłożenia głowy, a kit dla mamusi do dzbanuszka od mleka, który się rozbił o głowę tatusia.

Teraz na nowo

On: — No nareszcie, kochana żoneczko, pozbyliśmy się długów!

Ona: — A to doskonale! Teraz będziemy mogli zaciągnąć nowe!

U lekarza

— Panie doktorze! Synek mój połknął 5-złotówkę.

— Bardzo przepraszam, ale chwilowo nie mam czasu, przyjdę popołudniu.

— Prosiłbym jednak zaraz, bo bardzo potrzebuję pieniędzy... Narazie choćby dwa lub trzy złote. Reszta może być później!

Dobra rada

Gość przychodzi do restauracji, siada przy stole i żąda karty potraw. Otrzymawszy ją, mówi do kelnera:

— Proszę, ma pan tu zgóry pół złotego jako napiwek, a niech mi pan poradzi uczciwie — jaką potrawę mam sobie wybrać?

Kelner nachyla się do niego i głosem konfidencjonalnym powiada:

— Niech pan dobrodziej idzie do innej restauracji.

Zagadka

W pensjonacie „Familijnym" w Skolimowie siedzi p. Cederbaum w licznem towarzystwie. Jeden z letników w trakcie rozmowy powiada:

— Zadam wam teraz zagadkę, ale kto jej nie rozwiąże, ten wrzuci złocisza do mojej kamizelki. Dobrze?

— Świetnie — zawołali wszyscy chórem.

— Jak należy zrobić, ażeby dwa jajka gotować w trzech garnuszkach i to tak, aby w każdym garnuszku było równo?

Nikt nie odgadł.

Kilkanaście złotych wpadło do kamizelki wesołego letnika.

— A teraz mów pan sam jak to się robi?

— Ja także nie wiem — i dlatego wrzucam do kamizelki — złotówkę.

Największa sztuka

Pan Apfelbaum ma chodzącego do szkoły syn ka, który wbrew familijnym tradycjom, ma zawsze złe noty z arytmetyki. Po ostatniej cenzurze Apfelbaum mówi z wyrzutem:

— Moniek, Moniek, powidz mi, czy ty się już nigdy nie nauczysz liczyć?

— Kiedy tato, mnie się zawsze coś omyli.

— Ależ Moniek, przecież ty jesteś syn kupca, ty powinieneś chyba dokładnie znać liczby.

— Tak tato, ja znam je bardzo dobrze wszystkie, ale nigdy nie mogę zgadnąć, która jest akurat potrzebna.

Rosnąca klientela

— No, jak tam panu idzie interes?

— Dziękuję, moja klientela rośnie z każdym miesiącem.

— A z czem ma pan sklep?

— Z ubraniami dziecięcemi.

Częściowo

— Czy pan jest Krakowianinem?

— Tak, w przeważnej części.

— Jakto w przeważnej części?

— No, widzi pan, kiedy przyjechałem do Krakowa, ważyłem 22 kilo, a teraz ważę 84.

Małe zastrzeżenie

— Słuchajno Mondschein — czy ta rękojeść jest rzeczywiście z prawdziwej kości słoniowej?

— Naturalnie, że tak! — Tylko nie mogę dać gwarancji, czy ten słoń nie miał fałszywych zębów.

Ostrożnie

— Pozwalasz sobie na jazdę drugą klasą w tak ciężkich czasach?

— Tylko przez ostrożność. Trzecią klasą jadą moi wierzyciele.

Nieszczęśliwa

Mała Zuzia stoi w ogrodzie przy ławce i płacze. Jakiś starszy pan zapytuje:

— Czego ty płaczesz, dziecinko?

— Bo ja chcę, żeby mi oddano mój chleb z konfiturami.

— A gdzie on jest?

— Pan siedzi na nim.

Zadowolony

— No, jak idą interesy?

— Dziękuję, wcale nieźle. Zrana była tu jedna kobieta rozmienić dwadzieścia złotych, potem ktoś pytał się o ceny, ale ku wieczorowi to się trochę uspokoiło.

W biurze

— Czy pan dyrektor nie zechciałby mi dać jednego dnia urlopu z okazji mego srebrnego wesela?

— Ależ pan oszalał! Będzie mi pan teraz co dwadzieścia pięć lat przychodził z podobnemi żądaniami.

Przezorny

— Jakto, oskarżony nie myślał chyba zupełnie o swej przyszłości, kiedy zdecydował się na ten nieszczęsny czyn kradzieży pieniędzy z biurka swego szefa?

— Jakżeż nie, panie sędzio, zaniosłem zaraz przecież wszystkie pieniądze do banku.

Komplement

— Panno Rego, pani dzisiaj wygląda zachwycająco!

— Ooo, to samo powiedział mi już pański przyjaciel Mundek...

— No, temu oszustowi nie można w niczem wierzyć!

Zrozumiałe

— Dlaczego bocian stoi na jednej nodze?

— Bo gdyby podniósł i drugą, toby się przewrócił!

Zmiana

Ojciec: Władku, sprawiasz mi wiele kłopotu. Nauczyciel powiedział mi, że jesteś największym leniuchem z pośród twoich 50 kolegów! Musisz mi obiecać, że to się zmieni!

Władek: Dobrze, ojcze, od jutra to się zmieni. Jeden z kolegów przenosi się do Warszawy, w klasie zostanie więc tylko 49 chłopców.



Rozkosze plażowania...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.